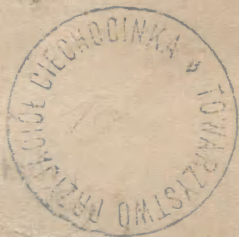


243
1

DROGĄ CZWARTAKÓW



WŁADYSŁAW ORKAN

DZIEŁA

POD REDAKCJĄ:
STANISŁAWA PIGONIA

Książnica Kopernikańska - Toruń
nr inw.: Gzw - 178404



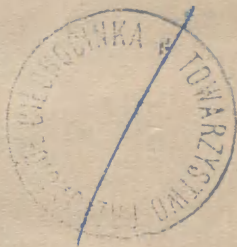
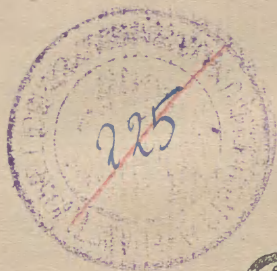
MAG 178404

NAKLAD
GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA

WŁADYSŁAW ORKAN

DROGĄ CZWARTAKÓW

I INNE WSPOMNIENIA WOJENNE



NAKLAD
GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA

KSIĄŻNICA MIEJSKA
M. KOPELCA
W TORUNIU

4.1982.976

DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE

1936

POLEGŁYM W BOJU

PAMIĘCI WASZEJ MOJE SŁOWO LICHE
NIE ZJAŚNI... POSZŁA JUŻ W MILJONY!
DZIŚ WASZE MOGIŁY CICHE...

.

CÓŻ WOBEC MOGIŁ SŁOWA ZNACZA?...

.

CZEŚĆ WAM I SŁAWA!
IŻEŚCIE ŻYCIEM SZLI ZA SWOJĄ WIARĄ,
IŻEŚCIE WIERZYLI SZCZERZE,
IŻEŚCIE CAŁYCH DALI SIĘ W OFIERZE
ZA WIARĘ SWĄ, KTÓREJ IMIĘ S P R A W A.
A IŻ NA WASZEM NIEBIE
(SMĘTNI, — I WY MARZYCIE!)
BYŁY DWIE GWIAZDY JASNE, CO WAS WIODŁY,
WOLNOŚĆ I ŻYCIE...

PRZEZ TRUD, PRZEZ MĘKĘ SZLIŚCIE WRAZ
KU OWYM NIEDALEKIM WROTOM —
NIECHAJBY I NAJCIEŹSZY WSKAZ:
KAŻDY W LOT STAWAŁ: „OTOM“!

KAŻDY OSOBNO STAWION — WÓDZ,
A ŻOŁNIERZ — GDY W SZEREGU —
IŻBY PRZESZKODĘ GROŹNĄ ZMÓC, —
NAJBLIŹSZY PLUTON Z BRZEGU!

HEJ, TOWARZYSZE, DZIWNY SŁUCH
O WAS TU DZISIAJ CHODZI —
W SZCZĘŚCIU UKAŁAŁ SIĘ WASZ DUCH,
POGINĘLIŚCIE MŁODZI.

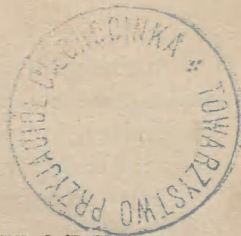
CZY MOŻNA ROZRÓŚĆ SIĘ SZERZEJ?
ŻYWOT SWÓJ ZAMKNAĆ DZIELNIEJ?
ZA ŻYCIA — BOHATERZY,
PO ZGONIE — NIEŚMIERTELNI!

DROGĄ CZWARTAKÓW
OD OSTROWCA NA LITWĘ
(1915)

PULKOWNIKOWI
BOLESŁAWOWI ROI,
BOHATERSKIEMU DOWÓDCY CZWARTAKÓW

DZIENNIK NINIEJSZY
— OD OSTROWCA NA LITWĘ —
W HOŁDZIE ŻOŁNIERSKIM
OFIARUJE

WŁADYSŁAW ORKAN
CHORAŻY



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Długo pamiętnym dla Piotrkowian zostanie dzień 15. lipca 1915 roku, gdy uformowany właśnie pułk czwarty Legjonów wyruszał w pole. A zwłaszcza moment ten, dla wielu przez łyzy wzruszenia na zawsze wpamiętniony, gdy po mszy polowej, na błoni, wobec jasnego nieba, wobec zebranej licznie publiczności i władz wojskowych, defilowały oddziały pułkowe przy dźwiękach „marsza czwartaków“... Jechał poprzód pułkownik, o głośnem już, zdobytem w bojach karpackich imieniu — jechali za nim inni oficerowie pułku, wiodąc bataljony swoje, kompanje — szły równo, równo, sprężone, mocne szeregi: — a gdy mijali oczy żegnające, salutując, dreszczem przysiężnej powagi uderzały światła ócz żołnierskich i światła wzniesionych szabel o serca ostających. A dało się z tych przysięgłych, dumnie podniesionych głów odczuć jeszcze jedno, co cień tragizmu pewnego, niby refleks przeszłości, na mijające szeregi rzucając, gest osobliwy tej formacji legjonowej tłumaczyło: — to w świadomości odchodzących krewieństwo niejaki z onym „tysiącem walecznych“ — myśl o sobie, świadoma zadań bojowych: „Czwartacy“.

Rozkazem Komendy Legjonów w ostatniej chwili do pułku czwartego przydzielony, zdążyłem jeszcze w nocy do pociągu, którym odjeżdżał bataljon trzeci. Pierwszy i drugi już były odjechały.

Kolej dochodziła do Ostrowca, gdzie też naznaczona była pierwsza kwatera pułku.

Po ulewie nocnej dzień nastął 17. lipca, pogodny, świeży. Wczesnym ranem wyruszył pułk z Ostrowca, szosą, w kierunku na Ożarów.

Pochód odbywał się dla ćwiczenia marszem ubezpieczonym. To znaczy: naprzód patrol przednia, t. zw. szpica; za nią w odstępach pewnych, pojedynką, widzące się jako słupy telegraficzne — łączniki; po obu stronach drogi w oddaleniu znacznym — patrole boczne; za ostatnim łącznikiem — kompanja wysunięta, ubezpieczająca; zaczem bataljony w odstępach krótkich od siebie, z oddziałami karabinów maszynowych, w bojowym porządku; na końcu treny.

Postępował tak pułk rozwinięty szosą, drzewami ciononą, wił się na zakrętach, przeginał się w zgurbach, niby ruchliwe zwoje spojonych dość luźno ogniów, to spiętrzał się w nurt ciemny, łyskliwy, gdy szosa wycinała prosto.

Oczy spotykały po obu stronach szosy łany zbóż przejrzałych, gdzie niegdzie wzdłuż jakby strumieniami powodzi stłoczone. Przepłynęło tu widać przed nami sporo wojsk, którym nie starczyło ławy drogi.

Ścieliły się też łąki o wtórnej, przygasłej trawie, i wyświecały się tu ówdzie łachy ściernisk.

Uderzały wzrok napół zebrane pola, częścią w ko-

pach, częścią na pokosach — jak gdyby ktoś przemożny robotników od polnych żniw odwołał. I oto ziemia świętuje. Żywej duszy — jak zagony długie — nie widać. Gdzie ten naród-właściciel, który nad wszystko cenioną ziemię rodną w takim opuszczeniu ostawia? — Odpowiedź na to miała nam wyjść naprzeciw po wielu wiorstach drogi.

Słońce, wytoczone nad spory okraj nieba, zalewało, padając z ukosa, ściernie, łąki, zboża, z rosy deszczu nocnego jeszcze nieobeschłe, kładło się wpoprzek maszerującym kolumnom.

Pułk święcił w tym pochodzie pierwszy dzień swego wystąpienia w pole. Ta świadomość, popierana świeżością wonną pogodnego rana, napawała żołnierza rozumiałą dumą i podnosiła krzepką tężyznę oddziałów. Szły raźnie szeregi młode, pełne poczucia swojej wartości bojowej i spodziewanych w krótkim czasie niezwykłych czynów.

Komendant pułku, ów głośny ze swoich przewag karpackich Bolesław J. Roja, jadący poprzód ze sztabem swym, zatrzymał się u wylotu drogi bocznej i lustrował zostrzonym wzrokiem nadpływające oddziały.

Pierwszy szedł bataljon kapitana Andrzeja Galicy. Mimo że był to materiał świeży, przeważnie z Królestwa w ostatnich miesiącach zwerbowany, szeregi niosły się sprężysto, postawnie — znać było w ich postawieniu wojskowym szkołę dobrą.

Jadący na czele kapitan Galica, były komendant Bataljonu uzupełniającego, mimo, że po raz pierwszy udawał się na front, wyglądał, jakby żołnierzem się już był

urodził: tak w nim się zjednocilił gest junacki z postawą. Pobok jechał jego adjutant, równie postawnej formy, chorąży Relidzyński. — Pierwszą kompanję prowadził doświadczony i dzielny oficer, por. Bończa-Uzdowski. — Oddziałem pierwszym karabinów maszynowych, wchodzącym w skład bataljonu, kierował młodziutki chorąży Ajdukiewicz, któremu aż oczy śmiały się na myśl, że wkrótce swoich grzechocących maszynek spróbuje.

Bataljon drugi wiódł kapitan Sikorski, człowiek młody, a już w kampanji karpackiej dobrze zasłużony. Bataljon jego składał się też przeważnie z Karpaczyków. — Oddział drugi karabinów maszynowych wiódł chorąży Wasung.

Trzeci bataljon prowadził podeszły w leciech a krzepki jeszcze porucznik Szerauc, który również kampanję zimową w Karpatach przebywszy, od szeregowca do rangi tej trudem zasług doszedł. Zdobił zaś bataljon, jak mak zboże, adjutant jego, chorąży Brzozowski, zawsze elegancją kwiecisty.

Tren prowadził chorąży Gwiżdż.

Pułkownik, zrobiwszy przegląd, poprawiwszy to i owo w pochodzie, ruszył koniem i wkrótce znalazł się znów z gromadką oficerów swych na przedzie pułku.

Pułk maszeruje dalej, brnąc piersią, ochoty pełną, w powietrzu czystem, bezpylnem, w kierunku wschodnim.

Wdzięcznie przyjmują oczy — w miarę mijanych wiorst — kraj nowy, nowe, odkrywające się obszary radoskiej ziemi o znacznych falistościach. Po długo opa-

trzonej monotonji równiny piotrkowskiej, wzrok z lubością zatrzymuje się na wzgórzach, nierzadko wieńcami lasu ocienianych.

A myśli wybiegają naprzód, ku niewiadomemu końcu drogi. Tają jak ptaki w niedojrzy powietrznej — i nikną. Rzeczywistość bogata drobnych spraw pochodząca pułku i rzeczywistość dookolna zapanowują w umyśle nad wszystkim. To jest, co jest. Ideje gdzieś tam sobie fruwać nad głową... Klęski? nadzieje? — Jest tylko pewność drogi — wzrok wybystrzony — uwaga. I serce jakieś przyjazne wszystkiemu. — Gdzieś, mówią, wojna — i my ponoć na wojnę jedziemy. Nawet gdzieś blisko. Dziwne.

Słońce zaczyna przygrzewać. Kompanje, przyniżone marszem i wstającym już gorącym przedpołudniem, aby sobie dodać otuchy, poczynają w przyosłabły rytm szeregów śpiewać. Zrazu nieśmiało, próbnie, aż wreszcie z kompanji przodującej wybija się chępliwość piosenki czwartackiej:

Przyszliśmy napoić nasze konie —
 Przyszliśmy napoić nasze konie —
 Za nami piechoty pełne błonie —
 Za nami piechoty pełne błonie...

Huknęło mocniej — kompanja następna poparła:

O Jezu! a cóżto za wojacy? —
 — O Jezu! a cóżto za wojacy?
 — Otwieraj, nie bój się, to Czwartacy,
 Otwieraj, nie bój się, to Czwartacy.

I już cały bataljon śpiewa:

— O Jezu! dokądże Bóg prowadzi?

O Jezu! dokądże Bóg prowadzi?

— Warszawę odwiedzićbyśmy radzi,

Warszawę odwiedzićbyśmy radzi.

Gdy mocniej nad inne wygrzmiały ostatnie słowa, czuło się, że prawdę tęsknoty legjonowej wyrażają. To pragnienie tkwiło w piersiach wszystkich — od komendanta, do ostatniego w szeregach.

ROZDZIAŁ DRUGI

Okolice, gdyśmy dalej załaniali się w ziemię radomską, zachodziły przed nas pagórami, coraz bardziej po-fałdowane. Dawaly się też zauważyć z drogi żółte roz-rzuty rowów, a pod wyniesieniami gdzie niegdzie rwane linje okopów: świadectwo niedawno minionych tu walk.

Zachodzi przed myśl droga pierwszej brygady — gdzieś tu niżej ku południowi krwawiące się: Opatów, Konary — ciężkie tamże przeprawy. Tędy droga ta mu-siała przechodzić, prowadząc w kierunku północno-wschodnim.

Czoło pułku doszło schyłości szosy, która się zwolna wynosiła na rozległy płaskowyż. Dążąc pod górę, mogliśmy zbliżka oglądać rowy strzeleckie, po obu stro-nach co pewien czas w różnych odstępach spotykane. Widać było nerwowość w ich rozmieszczeniu i robocie. — Stąd atak szedł, ku górze. — Na wzniesieniu pod lasem i na otwartej przestrzeni wyznaczały się puste łuki oko-pów rosyjskich. Również za przechyleniem w kilku od-stępach — rowy rosyjskie, rezerw.

Łan zboża stłoczonego, a dalej wieniec ciemny lasu.

Zjeżdżamy po schyleniu wolnem, a później wdół, ku jakiejś wsi, czy miasteczku, jak wskazują wyłaniające się w zagłębiu rozwidlonem na prawo załamy ciemne domów i na wzgórzu przeciwległem, w okoleniu drzew,

mury białe kościółka. Czyżby to wymieniony w rozkazie rannym Ożarów?

Teren zachylny przesłania. A pragnienie nużące — bowiem z południa już było — nasuwa naprzód całe winnice pokrzepień, jakie nas tam czekają. Pierwsza od wyruszenia spotkana osada ludna. Gościnność wyjdzie z wdzięcznym uśmiechem naprzeciw...

Mury się pokazują... zapewne miasteczko. Pragnienie się niecierpliwi. Naraz —

oczy się wzdrygły. Co to jest?

Prawda to — czy majak ohydny?

Kominy czarne, nic więcej. Jeszcze jakieś szczątki murów. To wszystko.

Zbliżamy się — wjeżdżamy wolno, z zalękiem w ulicę. Groza przywitała nas u wstępu...

Takiej ohydy zniszczenia oczy nasze jeszcze nie widziały. Przerażający obraz gwałtu i barbarzyństwa.

Stoją one kominy szerniałe, — pięści pomsty bezsilnej w pustkę ku niebu wzniesione.

Czerepy ścian, patrzące oczodołami otworów okiennych.

Zwały gruzów, cegieł skruszonych, przepalonych, szerniałych kamieni, jako też kupy stężałe popiołu — zalegają miejsca podłóg.

Doły piwnic otwarte.

Gdzie niegdzie szczyty samotne ostałe, dziwną siłą jeszcze nie upadłe. Widać z nich, jako i z ułamków ścian, że mury wyprowadzone były jednorodnie, z gładzonego, białego piaskowca.

Ni jednego domu ocalałego. Spalone wszystko do-

szczętnie. Nawet ocembrowania studzien ogień pożarł —
 śnać i wodę z nich wypił.

Wieńce czerwone uschniętych drzew otaczają ozdobą
 śmierci te ruiny i zgliszcza.

Jedziemy wolno środkiem tej martwoty.

Znikąd żywej duszy, żywego wejrzenia. Wszystko
 umarło.

Tu ówdzie na placu do ona wypalonym, który sa-
 dem był może lub dziedzincem dla zabawy dziatwy,
 zwęglone pnie drzew kikutami szerniałemi straszą.

Z uliczek, zawałonych gruzami, oczy rozszerzone
 pustki wychodzą.

Na pustych progach, w kątach sieni odkrytych —
 przerażne opuszczenie.

Nareszcie...

W otwartem wnętrzu jakaś postać. Niewiasta
 młoda — o pięknej, lecz bladej i zmarłej twarzy —
 szalem spłowiałym owinięta, z dzieckiem na ręku.

Mijamy, niezauważeni.

W uliczce coś się rusza. Człek, czy psina? Szare coś
 między zwaliskami.

Na placu szerszym, na kupie gruzów — grupa nie-
 wielka Żydów. Dziw — żaden głowy nie odwrócił, gdy
 przejeżdżamy mimo. Żadne oczy ku nam nie spojrze-
 ły. — Wzrok zastygły, w jeden punkt gdzieś wczepione.
 Dłonie jak szpony koło kolan splecione. Tak siedzą.

Człek jakiś szary zaszedł z boku.

— Jak się ta miejscowość nazywa?

— Ożarów, panie.

— Kto tak zniszczył?

Moskale spalili.

— — — — —

Daremny otrząs myśli, by zrzucić z siebie ten obraz tłoczący. Długo jak zmora ciężyc będzie oczom, grozą padać na serce.

Wyjechawszy nad Ożarów na wyniesienie rozciągle, mieliśmy sposobność obejrzenia zbliżka pozostałych rosyjskich pozycyj. Doskonale wybrane i urządzone. Wzdłuż całej krawędzi wzniesienia, na schyleniu — jak łukami szła — ciągnące się okopy zakryte, z kątami wysuniętymi, z bocznikami, z rozległemi przedpolami płotów odrutowanych. Niepodobieństwem wydaje się, by pozycje te były wręcz zdobyte; chyba obejściem; tak się też podobno stało.

Minąwszy połogi grzbiet wyniesienia, zbaczamy na prawo, na drogę polną z gościńca i zjeżdżamy wąwozem głębokim do Janikowa. Nad wąwozem, niby czarny olbrzymi zewłok upadłego ptaka, resztki wiatraka spalonego.

I Janików spalony. Dwurząd kominów szerniałych — jak wieś była rozłożona, po obu stronach drogi. Zaledwie kilka domostw czy stodół u końca wsi zostało. Ocalały jeszcze: powyżej na uboczu położona szkoła, kościół i plebanja, gdzie też stanęła kwaterą Komenda pułku.

Z dziedzińca plebanji widne było zgliszcze wsi całe jak na dłoni. Nawodzić mogło podobieństwem cmentarz żydowski. Jak nagrobki jednorówne dźwigały się opuszczone kominy, podmurówki, idąc rzędem, to wychylając się z poza rzadkiej przesłony drzew o barwie późnej jesieni.

Ksiądz tłumaczył:

— Już dzień poprzód przygotowali sobie snopy z pola, które pokryli poza chaty. Pułkownik zdradził sam, że ma rozkaz palić przy odwrocie. Plebanję na prośbę minęli, bo tu komendant stał kwaterą. A może też już i nie mieli czasu. Prędko to poszło.

Ktoś wyraził podziw dla widzianych pozycyj.

— To też im do płaczu niemal przychodziło, że takie stanowiska piękne muszą opuścić.

— Czy tu bitwa była?

— A jakże, pozycje ich szły pod same ściany kościoła. Przez dwa tygodnie dzień i noc armaty grzmiały. Istne piekło. Pociski padały aż tu na dziedziniec. Szczęściem, Bóg strzegł, plebanijka wyszła cało — kościół też, tylko w dwóch miejscach, na dzwonnicy i nad oknami, małe uszkodzenia od szrapneli. A jeśliście panowie ciekawi — dodał — to pokażę wam mieszkanie, w którym przez czas tej walki przebyłem.

— Prosimy.

— Tylko trzebaby światła...

— Mamy latarki.

Zaciekawieni, ruszyliśmy za nim, a on nas wiódł w kąć dziedzińca, pod kościół. Staął przed otworem.

— Proszę za mną...

Wchodziło się po schodach ziemistych, jak do piwnicy. Dalej była sień. Szliśmy jeden za drugim, poświecając latarką. Gdzie niegdzie ściany się zwężały.

— Ostrożnie — radził ksiądz — by nie powalać ubrań.

Ówdzie ściany się rozszerzały w komorę, ówdzie ni-

sza jakaś, wnek czy ława, wszystko ciosane w glinie lepkiej i żółtej. Całe wnętrze widać było samą gliną, w której łatwo dało się to wyciosać.

— Oto moje mieszkanie — mówił ksiądz z pewną dumą. — Przez dwa tygodnie tu przebyłem.

— I jakże się ksiądz w niem urządził?

— Jakoś znośnie; niewybrednie, ale znośnie. Ot tam łóżko stanęło — tam rzeczy trochę. Co się dało przynieść, to się zniosło. Kuferek z cenniejszemi rzeczami...

— A z życiem jak?

— Różnie. Czasem dało się wyrzeć na świat. Zresztą donoszono. Bo i służba się tu chowała w dniach krytyczniejszych. Spało tu i po siedm osób. Krowinę też wewiedli — tam stała u wejścia. A i beczuleczka wina, co ocalała od gości — to się ją tam w tej niszy schowało.

— Kunsztowne katakumby! — podziwialiśmy.

— A jeszcze jedno najważniejsze panom pokażę. Proszę poświecić dalej.

Korytarz zwężał się i zniżał. Trzeba było schyłym i ostrożnie postępować. Widać było przy końcu światło dnia. Dostający się w to światło widział się jakby na dnie studni, okrągło w niebo wychodzącej.

— A to co? — pytamy.

— Drugie wyjście! — rzecze ksiądz z dumą. — Tu stała drabinka, do wierzchu sięgająca. I gdyby np. pierwsze wyjście granat zasypał, to tam możnaby się wy dostać. Ot, co!

Z rzetelnem uznaniem wyrażaliśmy swoje zachwyty nad pomysłowością księdza proboszcza.

— Nowoczesne katakumby. — Ot, co. — Że też to cały naród tak się nie urządził.

Jeszcze jedno zawdzięczamy odkrycie pomysłowości księdza proboszcza z Janikowa, lecz to już z dziedziny polityki.

— Panowie ta bliżej tych wszystkich spraw, i ja ta nie wchodzę, skąd co, na co. Ale jakby to powiedzieć... Bo my tu różnie i z ziemianami okolicznymi mówili, nim jeszcze ta burza nas doszła...

— Czemu to ta Austrija tak na północ prze? Czy bodajże nie temu, że Włoch naciska z południa?

— Rozumie się — przyznawaliśmy — prawo fizyczne!

Eheu! Jeszcze jedna orientacja z tej strony Wisły...

ROZDZIAŁ TRZECI

Na godzinę 6. rano (dnia następnego) naznaczono zbiórkę bataljonów na szosie pod Szymanówką.

Dzień wstał, po osuszy słonecznej dnia poprzedniego, jeszcze jaśniejszy.

Na oznaczoną godzinę spłynęły z trzech stron bataljony, formując się na szosie w podobnym porządku, jak przy wczorajszym wymarszu z Ostrowca. Na końcu treny.

Przeszła obok kompanja techniczna Komendy Legjonów, kwaterującej w sąsiednim dworze Podlesie... Poszła naprzód dla stwierdzenia, a w razie potrzeby dla ułatwienia przeprawy przez Wisłę.

Orkiestra uderzyła w rytm „Marsza Czwartaków“.
Pułk ruszył.

Kolumny wyciągnęły się, budząc w oczach patrzących otuchę. Bataljon pierwszy, drugi, trzeci. Łączne z niemi oddziały karabinów maszynowych, ze swemi jukami na grzbietach małych a mocnych koników, przypominają jakąś kawalkadę z południa.

Dalej szare płachty trenów, przerywane ciemnymi baterjami kuchni kompanijnych.

Przemknęło pobok szosą kilka samochodów Komendy Legjonów. Za chwilę powozy nas wyminęły — i na swo-

jej kwadrydze, jako wódz rozparty, gruby kucharz sztabowy.

Dążymy w kierunku wschodnim. Ziemia się rankiem słonecznym uśmiecha.

Idą za nami zmory widzianych zgłiszcz, popielisk wojny — Ożarów, Janików — ale gdy wkraczamy znów w bezosiedlne obszary, w pustać słońcem obsianą, radośną, widzi się, że to majak był, jak sen przykry a nierzeczywisty — znowu duszom radośnie się czyni, gdyż maszerują wprost naprzeciw słońca.

Wyszło słońce o rannej godzinie
I stanęło wpoprzek mojej drodze —
Już mię pewno szczęście nie ominie,
Poimane przyprowadzę wodze — —

śpiewa się niejednemu ballada o sobie samym. Najśluszniej jednak, bez urazy prawdy, możnaby ją przypisać pułkownikowi onemu, który jako witeź dawny w osępieniu na czele pułku swego jedzie: wprost w słońce — bo stamtąd wstało, z nad przeczuwanej już śpiewem serc Wisły.

Wykręcił się w siodle i wtył za siebie po ruchliwych falach głów — jak szeregi się kołyszą — patrzy...

Oczy, zniechęcone powolnością węża długiego kolumn, znów ku słońcu przed siebie obraca. Dotknie konia ostrogą — i naprzód ruszy. Wnet zakryje go mgła gościńca. Utonął w słońcu — tam, za tem wzgórzem świetlistem.

Komendę pułku w zastępstwie objął kap. Galica. I on balladę o sobie w sercu swoim nuci, Chrobat-Podhala-nin jasny.

Pułk maszeruje. Wzgórza się podnoszą, wstają z obu stron coraz wyżniejsze pagóry, odkrywają się zbocza nagle a miękko spadziste, to się dźwigają niegroźne ostrzysy, o kopicach drzew, przerozmaicie zielonych. Pośród nich łąki, proszące o uśmiech, niespodziane i miłe zacisza.

— Piękna ziemia. Warto za nią się trudzić.

Myśl ku Podhalu wybiega i wiąże tamto piękno surowe, wysokie, z tem tu bratniem poniżem, tylu pokusami oczu umajonem.

Dąży, dąży pułk w kierunku wschodu, z którego już słońce odchyliło się znacznie ku południowi, idąc wyżej.

Dyszy pułk ku wzniesieniu dwutysięczną pierśią szeregów, które się spieszą, spieszą, jak na uroczystość bliską.

Nareszcie — czoło wzniesienia, przechylenie — — marzona dolina Wisły się odsłania...

Serca pieśnią radości uderzą. A na pamięć przychodzi miejsce ono w powieści o *Udatym Walgierzu*, gdy trzech mężowie (onże Walgierz, Mściw i Wydrzyoko), jadąc doma, nad doliną wiślańską stanęli. Bo tak to istnie musiało być...

„Stanęli mężowie w strzemionach, nakryli dłońmi oczy od blasku rannego słońca, co się w wodach dalekich nurzało. Patrzą wdół... Góry przed nimi, góry wielkie, okrągłe i pochyłe. Cudne błamy lasów... Tam i sam osłoniąta jest ziemia jeno powłoką brzoźowych bugajów, co zstępują ku dolinie uroczej...

Spiew serc — Dolino moja... da-dana!

Wiślańskie łągi! Widać z wyżyny kwieciste, nieogarnione oczyma. Wierzby tam po nadwodziu rosochate, wikle się srebrzą w porannej mgle. Daleko szumią kępy sokorów, daleko w błękitach toną

białe brzozy. W brzegach rozkosznych płynie połyskliwa Wisła-woda“...

Zstępujemy z weselem w rozłoż wiślańskiej doliny.

Pieśni radosne przed nami zlatują i zdają się pozdrawiać mijane w biegu lasy, łąki, pola, aż przypadną w zachwycie do lśniących stóp Rzeki. Widać u końca łąki roztoczonej Jej słoneczną pojavę, i łuk świecący brzegu naprzeciwko. Poniżej pale spalonego mostu.

Kolumny zesły na rówień nadrzeczną.

Krótki odpoczynek na łące — sformowanie na nowo pułku i przeprawa.

Bataljon pierwszy wkracza na ławy piachu i na położony na wodzie pontonowy most. Za nim drugi bataljon, trzeci...

Oficerowie konie za uzdy prowadzą.

Przejdziem Wartę, przejdziem Wisłę...

.....
Ważność tej chwili każde serce żołnierskie odczuwa.

„A gdy Turek napoi białego konia w Horyniu...“

Dudnią kroki szeregów i kopyta koni po spojonym dość luźno pomoście. Drżą, uginają się pod ciężarem kolumn łodzie-pontony. Przewalają się pieściwie — od Śląska, od Tatr płynące — nurty Wisły.

Poniżej pionierzy odbudowują most spalony. Brzeg drugi znagła górzysty.

Wąż kolumn wpełznął na brzeg i, przewijając się zakrętami drogi — olbrzymi, szary — piał się w górę, połyskał coraz wyżej, wyżej — aż zgasł za przechyleniem.

Przyostałe treny mają teraz święto przeprawy. Zwol-

na, zwolna wozów setka się posuwa po pomoście. Grzbiety pontonów zrazu niepewne, przyszły wnet do równowagi. Zważyły, iż nieciężkie jest mienie Legjonów.

Na górzystym brzegu rozłożył się Annopol, miścina, całe miejscu temu wysokiemu nieodpowiednia. Minął ją też pułk ochotnie i wparł na drogę w kierunku Księżomiesza, gdzie kwatery noclegu były naznaczone.

Echa dalekich dudnień armat, które z północnej strony z przestankami niedużemi od wczora słyhać było, teraz ustały zupełnie. Natomiast ukazały się na skłonie nieba ku północy ledwoznaczne dymy. Co oznaczać mogło tylko jedno: iż Moskale palą wsi w odwrocie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Wkroczył pułk w ziemię lubelską, ziemię rodzajną, wysoką, od wyniesionych brzegów Wisły rozciągniętymi płaskowyżami — płatami lasów, przestrzenią pól — jak morze wzdęte o leniwych falach, pod zarząd słońca układzoną.

Krótki postój na czas obiadowy w lesie, a potem zmudny marsz piaszczystą drogą w kierunku wciąż wschodnim o wychyleniu na północ.

Często zachodziły po drodze przed oczy groby, samotne lub po kilka razem, o krzyżach prostych, drewnianych. Są to już odtąd powszednie zjawiska, te krzyże jedno albo dwuramienne, w świeże wetknięte kopce.

Jasny dzień zachmurzył się. — Z deszczem już zdążyliśmy pod wieczór do Księżomiesza. Bataljonomznaczono miejsca w różnych odnogach rozległej wsi. Komenda pułku stanęła na plebanji postronnej.

Wieś przedstawiła się jako zamożna dziedzina, ludzie przyjaźnie nam życzliwi, kilku parobczaków — z niewielu, jacy we wsi pozostali — odrazu do nas „przystało“.

Księżomiesz uszedł zniszczenia z tej tylko przyczyny, iż Moskale za szybko musieli się cofać. Bawiący na plebanji proboszcz z sąsiednich Dzierzkowic mówił, że

uszedł ledwo, a wieś jego w zgliszczach. To samo wsie okoliczne.

— Ludzi zajmują, strasząc ich Niemcami, a potem palą. Tak wszędy, gdzie jeno czas mają. — Gdy naród strachów ich nie słucha, to gwałtem zagarniają.

— W jakim celu to czynią?

— Trudno cel jaki dojrzeć. Dzicz i koniec.

Dochodził nas grzmot armat od strony północnego wschodu. Długo w noc trwało owe pogłośne dudnienie.

Rano dnia następnego (19) zaczęło się ulewą. Armat nie słyhać. Rozkazem wczesnym na godzinę 6 min. 40 naznaczony jest przegląd pułku przed Komendą korpuśną. Przegląd wypadł mimo ulewnego deszczu zadawalniająco. Poczem rozkaz wymarszu (na g. 11), w którym powiedziano, że „Moskale cofają się na całej linii“ i że idziemy do Urzędowa, gdzie spotkamy się brygadą pierwszą.

Deszcz ustał, lecz pochmurnie. Wyruszywszy z Księżomiesza drogą błotnistą pod górę, dążymy dalej przez działy - rozłogi w kierunku oznaczonym, północno-wschodnim. Pułkownik z adjutantem swym i paru ordynansowymi pojechał naprzód. Zastępstwo objął kap. Galica.

Pochmurność nieba, osep pól po deszczu i ciężkość drogi nie usposabia weselnie. — Dążą szeregi w milczeniu. Nic też szczególniejszego oczom błędzącym nie podpada. Dopiero w połowie drogi, gdy przechodzimy koło ściany lasu, mamy sposobność podziwiać kunsztownie sporządzone wille z cienkich okrągłaków i gałęzi, w różnym lecz głównie we wietrznym — można nazwać —

lub przewiewnym stylu; stajnie palowe o dachach chru-
stowych — cały willowy zakład leśny, godny wystawy
wojennej. Niby zabawa dzieci. Czyj to pomysł, niewia-
da. Artyzm pewien, zbytek w urządzeniu schronisk wska-
zywałyby na robotę Niemców.

Zarządzono odpoczynek na skraju lasu, a że kuchnie
nadszedły — i obiad. Humory się poprawiły. Przy wy-
marszu zagrała orkiestra pułkowa. Ruszono ochoczo
dalej.

Przy końcu w lesie, wzdłuż którego pułk maszerował,
oglądaliśmy przemyślnie maskowane rowy strzeleckie
Moskali, kryte pomostami pochyłymi, zarzuconemi zie-
mią, chrustem, trudne nawet zbliżyć do odróżnienia od
podłoża lasu. Przed nimi w przerwach zdradzieckie za-
sieki z drzew... Niektóre sosny stoją nadpiłowane; — nie
mieli czasu ich zwalić.

Po drodze najdują się często porzucone naboje rosyj-
skie: wiele trafia się kul spiłowanych przemyślnie lub
ponacinanych na końcu, aby działały w skutku jak kule
„dum-dum“.

Nadszedł oficer ordynansowy z rozkazem, że pułk
ma iść przez Urzędów, Ludwinów, do Ratoszyna, mar-
szem ubezpieczonym, od Urzędowa w wojennem pogo-
towiu.

Wysłano więc naprzód kompanję ubezpieczającą, wy-
sunęto łączniki — bataljony ścieśnione ruszyły.

O śródmieczu dojeżdżamy do Urzędowa. Dowia-
dujemy się, że sztab brygady I. stoi w Ludwinowie; że
tu przedwczoraj była bitwa, w której brała udział
znaczny brygada I. Na wstępie, tuż po lewej stronie błot-

nistej ulicy, wzdłuż płotu widać okopy naprędce zrobione, to zasłony z darni; tak samo i w rogu cmentarza, który ku drodze wychodzi. Zacięte były tu walki.

Urzędów — obszerna wieś, wzdłuż po obu stronach łąki rozłożona, jeszcze przykrzejszy, chociaż mniej upiorny, przedstawia widok, niż Ożarów.

Wieś zupełnie po barbarzyńsku przez cofających się Moskali spalona. Ludność z dziećmi i dobytkiem zagarnięta przez nich. Tu ówdzie snuje się po zgliszczach jakiś człek szary, ostały przypadkiem, jakaś obłądna kobieta.

Z domów zostały tylko okopcone kominy i piece. Na jednym z takich pod niebem otwartych pieców — widzimy, gdy przejeżdżamy мимо — dwa garnki stoją na blasze, ogień pod blachami się pali; koło pieca, na kupie gruzów, przykucnięta, siedzi z podpartą głową na dłoni stara kobieta: warzy sobie wieczerzę. Jak w domu. Tylko brak ścian i powały.

Kościół również spalony. Mury tylko ostały.

We wsi stoi (nie pozazdrościć kwatery) wcześniej tu przed nami przybyła Komenda Legjonów. Mieści się szpital polowy i kręci się trochę legjonistów z pierwszej brygady.

Mijamy zgliszcza domostw. Słyszymy, że był do podpalenia odkomenderowany oddział cały pod dowództwem oficera.

Spotykamy pobok ulicy na podwyższeniu mały domek nietknięty. Dziwno nam, że ostał się cało.

— Dał dziesięć rubli — tłumaczy nam jakiś nawi-

nięty sąsiad — i podpalacz wyminął. Lecz było, że pieniądze brali i palili.

Jednego z takich podpalaczy — słyszymy — baby tej wsi, gdzieś wśród opłotków dopadłszy, kijami i widłami zatłukły.

Za wsią na pagórku 5 krzyży świeżych, świeże, żółte kopce. Dwaj legjoniści tam leżą, trzej Moskale.

Minąwszy Urzędów, bataljony dostają zlecenie: naładować broń. Krótkie zatrzymanie dla wypełnienia rozkazu — poczem marsz dalej w pogotowiu.

Deszcz zaczyna rosić. Mimo to, mimo utrudzenia długim marszem i zgnębienia ócz przeraźnemi obrazami zniszczenia, ochotność w szeregach nie gaśnie. Krzepi utrudzonych świadomość spotkania się niezadługo z brygadą pierwszą.

Zwłaszcza wśród Karpatczyków, którzy rok cały tej chwili czekali, marzyli o niej na przełęczach bukowińskich i w chatach huculskich, dzień ten ma wyjątkowo uroczystą barwę, choć tak schmurzony i dżdżysty. Oto spotkają się z tymi braćmi broni, którzy na swoim dziedzictwie dawali odpór wrogowi, gdy oni po obcych horach-dolinach, w tęsknocie... — Z tymi, którzy pierwsi wkroczyli na ziemię Królestwa, których pierwsze śmiałe czyny dały pobudkę innym, a którzy od Wodza swego wzięli oblicze, iż są jak jeden mąż. Jak ich też powitają, jak przyjmą? Jakiem sercem wyjdą im naprzeciw?

To spodziewanie było w pułku całym — u oficerów, jak i szeregowców.

Późnym już wieczorem wśród deszczu dobijamy do Ludwinowa. Na wstępie koło lasu spotykamy artyler-

rzystów brygady. Znajomi witają się. Przychodzi zmiana rozkazu: Pułk zatrzyma się na noc w Ludwinowie, zajmując 10 chałup w południowej części wsi (resztę zajmuje brygada).

Wieś ocalała z powodu szybkiej ucieczki Moskali, nocą wśród deszczu.

Pułk przechodzi bataljonami na wyznaczone kwatery. Z trenem nieco zamieszania, gdyż noc ciemna, „że oko wykol“, lecz to się jakoś uładza.

Idąc wgłąb ciemnej ulicy, zalanej błotem, spotykam przed chałupą, w której stoi sztab brygady, lekarza pułku kap. dra E. Bobrowskiego i kap. Galicę, który zdał raport Brygadjerowi, jako zastępca komendanta pułku. Czekają na odprawę.

Nie mogąc się doczekać odprawy i nie mając wieści od pułkownika, który pojechał do Ratoszyna, kap. Galica udaje się ku swojej kwaterze, ja z nim.

Bniemy ciemną ulicą wsi. Po sadach, wśród napół rozebranych opłotków: fury trenowe, okryte płachtami, ludzie, konie, ogniska. Koło kuchni polowych — gromady. Warzą wieczerzę, gwarzą, spierają się o lepsze, t. j. suchsze miejsca.

Naraz z mroku nocy od wschodu rozlega się dziwne, skłócone pranie, niby bezładna młocka w stu bliskich stodołach. — Co to?

Skrećamy w bok i stajemy za opłotkiem sadu, gdzie przestrzeń pól się zaczyna, by lepiej objąć słuchem te dziwne odgłosy. Rozróżniamy teraz wyraźnie:

Zmieszane, gorączkowe strzały karabinów, jak bicie

setek cepów w drewniane boisko. Coraz to prędzej, nerwowiej...

Zdaje się: tuż za ścianą mroku. Czyżby atak nocny?

Dziwnie osobliwe, niepokojące wrażenie. Jak wobec czegoś nieznanego a groźnego, co się w mroku zaczyna. I trwoży i pociąga razem.

Na moment pranie wydycha — wtedy zaświecają się rakiety w ciemni. I znów kotłowanie strzałów bezładne, prędkie — rośnie w gorączkę zacieklą — do czego dołącza się przegroźnie obojętne trajkotanie karabinu maszynowego. Różaniec śmierci.

Powiada Galica:

— Widzisz chłopie, to tak wygląda.. Ale młóć!

— Zdaje się, tuż zaraz za wsią.

— Tak się wydaje. Będzie 10 wiorst lub więcej. W każdym razie trzeba pluton ubezpieczający na noc postawić.

Wracamy w ulicę, objętą życiem obozu. Koło ognisk kręcą się sylwety, koczują gromadki zbite w okolu światła. Już sen niektóre na ziemię mokrą powalił. Przy wozach swary o wymarzone miejsce pod dachem płóciennym. Konie parskają, chrupiąc jakiś porzucony barióg.

Wchodzimy do chałupy: kwatera komendy I. bataljonu. Zaduch, brud. Na ziemi, na garści słomy śpi kilku półrozebranych oficerów. Łóżka dwa, słomą i jakimś łachmanami pokryte, wolne. Proponują kapitanowi jedno — mnie, jako gościowi, drugie. Wieczerzy niema. Przemęczeni, mimo odrazy do pościeli, rzucamy się jak jesteśmy w płaszczach na one łóżka, w momencie usypiając.

Rano wstawszy, dowiadujemy się, że dzień poprzednio gościli tu Moskale — jeszcze na blachach pieca stoją garnki (jeden z kawą, drugi z herbatą), których nie zdążyli opróżnić.

Słychać od strony wschodu armatni bój. Z poza chałup ze wzgórza obserwujemy kierunek i działanie strzałów — widać stanowiska austriackich bateryj, linję tyraljerską i linję rezerw. Pozycyj rosyjskich nie widać — przesłania je grzbiet przeciwnielego wzniesienia — można tylko miarkować ich położenie z dymów i ogni pękających nad niemi szrapneli.

Koło południa nadjechał pułkownik. Sztab zajął chałupę przy końcu wsi. Znalazła się i słoma czysta, najbardziej zaiste upragniona rzecz.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Wczesnem ranem, nazajutrz, 21. lipca wyruszył pułk z Ludwinowa. Również miała opuścić Ludwinów brygada i posunąć się naprzód. Moskale cofnęli swoje pozycje.

Przy deszczu roszącym zdążyły oddziały rozmiękłemi polnemi drogami w kierunku naprzód południowym, później zagnała wschodnim.

Przed południem stanął pułk w Kazimierzowie, wsi niedużej, na płaskowyżu ładnie położonej. Tu naznaczono kwatery. Komenda pułku zajęła izbę w domu schludnym, murowanym, jakoby sołtysim.

Gospodyni domu, która warzyła mleko na blasze, gdyśmy weszli, na propozycję, by nam je odstąpiła, odrzekła, kraszając uśmiechemi odmowę:

— To dla babuśki. Ale mogę panom zwarzyć jeszcze.

Poniosła garnek przez sień do drugiej izby. Rozumieliśmy, że ta „babuśka“ to najważniejsza tu osoba w domu, ważniejsza od wszystkich sztabów.

Rozgościliśmy się w izbie. Naniesiono słomy żytniej, roztoczono pod ścianami — miejsca było dość, mimo że piec duży zajął cały kąt. Izba obszerna o trzech oknach — ławy, stół, stołki — ściany i sufit bielone.

W jakiś czas później (mleko, drugi raz warzone, dostaliśmy), gdy każdy oddał się zajęciu swemu lub wypoczynkowi, drzwi z sieni ustąpiły, weszła kobieta stareńka, stuletnia może, chuda jak skrzydełko.

Weszła, stanęła, wsparta na koszturku, i wzrokiem dziwnym potoczyła wokoło po izbie.

Co było w tym wzroku? Przychodził jakby zdala, z innego świata. Rozświetlał się powoli świadomością zobaczonych rzeczy, i stanęło w nim zdumienie.

Słoma na ziemi, nieład — jacyś skądś nieznani ludzie siedzą, leżą na ziemi na słomie — w tej izbie, której ona była przez lata jedyną władną gazdinią. Co to takiego?

Poruszyła bezdźwięcznie ustami. Jakieś słowa, sobie samej rzezone. I wyszła. — Jak widmo.

To ta „babuśka“, dla której mleko gospodyni warzyła, gdyśmy weszli. Wytrąciła i ją wojna z normalnego trybu życia, rzuciła w niedogodę. Kąta swojego spokojnego niema — ktoś wchodzi w jej prawa — jakieś się rzeczy dzieją, których nie może zrozumieć.

Rozpogodziło się. Bój armat się wzmógł. Pułkownik z adjutantem pojechał ku pozycji. Z otwartej przed wsią płaskowyżnej przestrzeni obserwujemy ruchy rezerw wśród zbóż na opodalnym zboczu wyniesienia (linje pierwsze zachylenie skrywa) — przemykanie różańcem miedzami kawaleryjskich oddziałów i groźną czynność armat. Tuż pod grzbietem wzniesienia, pod laskiem, przyczaiła się ruchliwa baterja polna, sześć raz po raz da-

jąc w odstępach wystrzałów. Szukają jej szrapnele rosyjskie, co chwila wykwitają dymki rdzawe nad laskiem i pobok. Na dole, skryta za chałupą w osłonie drzew, pracuje ciężko baterja haubic. Błyski uprzednie wybuchów zdradzają tylko oczom źródło grzmotu.

Nie widząc skutków tych niszczących działań, mogło się odnieść wrażenie, że się jest w obliczu manewrów. Lecz i skutki dość rychło dały się nam widzieć.

Przejeżdżają wozy z rannymi — sznur długi. We wsi wdole mieści się stacja opatrunkowa. Stamtąd odwożą ich dalej, na tyły.

Na jednym z wozów znajduje się ranny legionista z naszego pułku. Skąd? jak? co? Gromada otoczyła wóz. Dowiadujemy się, że siedmiu ich, nie mogąc się doczekać walki, gorącością porwanych, wymknęło się nocy ubiegłej na linję, i z tych oto ten ranny; kilku poległo.

Po południu przeprowadzają koło nas partję jeńców, z 750 ludzi. Warto przytoczyć okoliczności, w jakich tych jeńców dostano, a jakie nam odprowadzający ich landszturmiści z pułku 40 (rzeszowskiego) z tryumfem opowiadają.

Stali owi rzeszowiacy, jako rezerwa, w lesie. Oficerowie poszli na obiad do wsi. Im się poczęło przykrzyć. Tedy przyszło im na myśl, że tam za górą pod lasem stoi tren rosyjski. Dobrać się do tego trenu—opłaciłoby się. Zanim oficerowie powrócą z obiadu, oni już mogą być zpowrotem na stanowiskach. Nie długo radząc, bo przeciwników tej myśli nie było, pod dowództwem podoficera ruszyli. I byłaby się im sztuka udała. Gdy niespodzianie naszli rosyjskie rezerwy. Zgniewani, rzucili się na nie

i prawie bez walki pojмали. Ale o trenie już gadki nie było — przestrzeżony strzałami, nie czekał. Wracali z jeńcami, już nie kołując, lecz na wprost brzegiem lasu. Na grzbiecie trafili akurat na skrzydło pozycyj rosyjskich, o las się opierające. Wywiązała się bitwa krótka. Moskale, ztyłu napadnięci, bronili się mimo to zaciekle.

— Twarde to chłopcy przy bitce. Taki oficer od maszynowego karabinu... Ja go kolbą po łbie, a ten nic, ino strzela... taki zbój — opowiada nam, zgorszony takim oporem rzeszowiak.

Dobrali jeszcze jeńca i do wsi na dół przywiedli: razem 750 ludzi, oficerów kilku i karabin maszynowy. Tymczasem, zanim ich oficerowie obiad jedli. Nie wiedziała Komenda, czy ich sądzić, czy im ma dziękować. Dostali naganę za to, że bez rozkazu poszli, a pochwałę, że jeńców przyprowadzili. „Wyprawa jednak nie udała się: do trenu nie dotarli“.

Popołudnie wśród zajęć obozowych przeszło. Oddziały rozmieściły się wygodnie, po chatach i stodołach, w nadziei dłuższego postoj.

Komenda pułku zaprosiła dowódców bataljonowych z adjutantami ich na kolację, podaną w sporządzonej prowizorycznie altanie. Jakiś oficer Polak z sąsiadujących austriackich oddziałów przyniósł krakowskiej kiełbasy, likieru — więc uczta. Humory niemal weselne. Kazano grać orkiestrze pułkowej, która dźwiękami zapełniła wieś, ściągając gromady żołnierskie na plac koncertowy. W przerwach wesołe pogwary, śpiewy, beztroski nastrój. „Jak na majówce“ — mówią chłopcy.

Naraz — depeza. Alarm.

Pułk dostaje rozkaz udania się na pozycję.
Niewłocznie zarządzony wymarsz.

Zmierzch zapadł. Bataljony wyszły, wsiąkły w mrok.
Za niemi, coraz przyostając, podąża tren bojowy.
Ciężko toczą się wozy po błotnych, zepsutych drogach.
Wśród pustaci pól niewidnych, to wśród majaków drzew,
ogrodzeń, środkiem jakiejś wsi.

Noc ciemna. Jakiś zakręt, ledwie rozeznać tor drogi.
Zdążają wozy pod górę. Wjazd jakiś szeroki, niby
do obejścia dworskiego.

A oto czarne ściany parku.

Droga przez park prowadzi. Przez park groźny, surowy,
milczeniem objęty. Poprzed plac jasny, oświetlony
jarzącymi oknami pałacu. Sztab dywizji podobno tu stoi.

Za parkiem, przestrzeń — noc, rdzawym odblaskiem
przeszyta.

Nawprost — olbrzymi pożar. Jakieś miasteczko płonące.
Borzechów?

Tam tren ma jechać — droga tam prowadzi. Czy nie
pomyłka?

Na lewo i na prawo od tego skupiska płomieni wy-
błyskują nad ziemią bezgłośnie rakiety, zaświecają się
w ciemności i gasną. Oczy pozycji w noc ciemną, szu-
kające wroga, baczące, czy nie knuje jakiegoś podejścia.

Cisza wielka, cisza niezwykła, jak przed czemś stra-
sznym, co się zaczaja w ciemnościach, potęguje grozę na-
stroju.

Wybłyskujące co chwila rakiety wyznaczają pozycje nasze i wroga. Są one, jak widać, tuż blisko, o wiorstę.

Sunie tren milczącą karawaną wprost w to niewiadome. Podnoszą się niespokojne pytania. Tak, na pewno omyłka. Łącznik stracony. — Lecz — rozkaz.

Zjeżdżają wozy z góry, w świetle pożaru widoczne. Zajaśniał, wykwitł ze środka ogniska olbrzymi stos płomienia białego, z niewiadomego źródła.

Podjeżdża tren pod bramy onego miasta pożaru. Rakiety zaświecają się tuż przed oczyma. Dalej trudno jechać.

Oto na lewo droga boczna, równoległa do pozycji. Zjeżdża tren na nią. Za jakieś chaty, drzewa. Staje.

Chwila jeszcze ciszy — i zaczynają w pobliżu trzaskać, grzechotać karabiny. Zaczynają kule przenoszące świstać w powietrzu.

Zajeżdżają przez zboże — słychać — armaty polne. Ustawiają się wpobliżu.

Będzie tu wnet gorąco. Do świtu godzin dwie.

Tren musi zawrócić, nim brzask wstanie.

Rzecz niełatwa na wąskiej drodze — sto fur. Szczęśliwie jednak się udaje.

Gdy tren staje zpowrotem przed parkiem, który przed godziną minął, nadjeżdża poślaniec z pułku ze wskazaniem, w jakim kierunku tren ma jechać.

Brzask.

Zamazane jeszcze mrokiem obszary sinością trupią występują oczom.

Jakieś pustkowie wzniesione. Wyznaczają się na niem wzdłuż pogrzbicia linje ciemne, przypadłe ku ziemi. Myśl o bataljonach, kompanjach naszych, płaszczem półsnu — w czuwaniu — i chłodem poranku owiniętych.

Czy to linje rezerw naszych, czy krzewy-majaki?

Wszystko spowite w szarą tajemnicę, przypadłe oddechem do ziemi. A czuje się poza tem czuwanie, okrutny pozór snu. Serca nawet nie uderzają, przywalone skałą nakazu.

Na prawo: las i równy pola płach — w mgle rannej. Szare mundury patrolu...

— Gdzie pułk?

— Tam, w lesie.

Piach drogi wilgotny — stajanie owsa — łąka w kąpieli rosy. A oto już las. Tu nasi. Karabin warty...

— Komenda pułku? —

— Tam, w kraju lasu.

Bataljony zaszyte w lesie, śpią. Śpi wszystko. Nie domyślić się śladu, gdyby nie sylweta warty.

Chłód dojmujący poranku.

Oto wreszcie kwatera Komendy. W koce owinięci, śpią na rośnej ziemi: pułkownik, adjutant, lekarz pułkowy, kancelarja i inni.

Czuwa tylko telefonista przy aparacie. Szare druty przędą się po drzewach, idą w kierunkach kilku.

Podnosi się pułkownik. Idzie do telefonu, by mówić z Komendą brygady, która znajduje się w sąsiedztwie za lasem. Aparat nie funkcjonuje. Kłopot.

Budzą, dźwigają się inni. Obóz ożywa.

Świt wstaje, roznosi się światło.

Naraz — zbiorowy tętent. Nadjeżdża z poza lasu brygadjer Piłsudski ze świtą. Chwila rozmowy z pułkownikiem, poczem jeźdźcy popędzili naprzelaj przez pole. Wizja: grupa sztabu ze sztychów powstańczych, żywo przeniesiona w rzeczywistość.

Rozkaz do bataljonów: mają się cofnąć do lasu sąsiedniego, o pół wiorsty, i tam zająć stanowiska.

Słońce wychodzi.

Znagła wstrząsa powietrzem młot armatniego wystrzału — drugi — trzeci — czwarty... Zaczem świsty przerażne.

Jakby się piekło rozwarło...

Z pobliza, z lasu, do którego pułk nasz ma się przenieść, wypadają raz po raz pociski armatnie i łukiem przelatują ponad nami w stronę południa, ku pozycjom moskiewskim.

Dwanaście bateryj — pracuje.

Nie sposób wyrazić słowem wrażenia tej kanonady, bo to już nie huk, nie grzmoty, zwyczajnie strzałom armatnim przydawane, lecz spójnię mózgu rozszarpujące wybuchy — i wraz

z czeluści wypadłe szatany, z przeraźliwym chichotem nad ziemią ścierpłą pędzące — —

stalowe żórawie (jak je nazwał Roja), z podźwiewkiem, ścinającym krew, szybujące górą — —

sępy-rarogi ogniste w świcie lotu —

psy-Grozy, z łańcucha piekieł w otchłań powietrzną z wyciem-skowytem puszczone —

i jeszcze inne — —

Straszliwa, nie do zniesienia orkiestra. Zdaje się okrąg

powietrzny, niebo i ziemię napelniać, iż niema przed nią schronu, nawet w śmierci.

Pod tą kopułą prześmigujących pocisków przechodzi pułk oddziałami do wskazanego lasu.

Bataljony zajmują rowy gotowe przy kraju.

Pokryte w lesie baterje wybuchają raz po raz, miotając straszne pociski. Rozróżnić można ich kaliber w wygłosie armat. Te szczekają jak brytany, uwiązane u bram piekieł — te biją z hukiem — te metalicznie wydzwaniają pociski śmierci.

Cały las huczy tą orkiestrą.

Tak trwa przez godzin kilka, do przedpołudnia. Baterje, szukane rosyjskimi szrapnelami, które pękają ze rzadka nad lasem, przesuwają się gdzie indziej.

Ucisza się las. Pułk rozpoczyna życie obozowe, choć w pogotowiu. Podobno jest tu wraz z brygadą osłoną flanki na wypadek spodziewanego ataku od południa pułków grenadjerskich, i ma zostać tu dłużej.

Zajeżdżają kuchnie do swych kompanij. Śniadanie i obiad razem. Ściągają treny. Donoszą ordynansi wodę z pobliskiej wsi, Kłodnicy. Ludzie się myją, biorą kąpiele słoneczne. Używanie, rozkosz.

„Las pod Kłodnicą“, jak go w raportach oznaczono, mimo że już przeszły krajem jego deptające stopy wojny, zachował swój leśny urok. Wspaniałe grupy sosen o rozłożonych gałęziach — zagaje młode, zadrzewia różnoliściaste — przerzedzia widne o wyścieli mchu — polanki słońcu otwarte, wszystko to zapraszająco wyglądało. To też wdzięcznie przyjęto pogłoskę, że pułk ma pozostać tu dłużej. W takim razie trzeba się zakwaterować. Wy-

bór i zajmowanie kwater pod drzewami, albo na placach otwartych, zależnie od upodobania.

Wieczór się zbliża. Poczynają w lesie wyrastać namioty. Stawiane z całą premedytacją, z fosami w koło na wypadek deszczu i innemi ubezpieczeniami. Widać też pomysłowość w stylach, w których uderza przedewszystkiem humor architektów.

Stanął namiot pułkownika o kształcie indyjskiej pagody. Napis: „Willa Niemaboja, bo tu mieszka Roja“. Stanęło pobok skromniejsze „Podhale“. — A że na wieczery gościć ma w Komendzie naszej brygadjer Piłsudski, więc pionierzy według planu ich komendanta, małego, ale groźnego „Giewonta“, budują altanę z brzóz ściętych pomiędzy kolumnami sosen, sporządzają ławki i stoły na ucztę; orkiestra się gotuje...

Nagle — rozkaz wymarszu. Zwijanie prędkie namiotów. Wieczerać niema czasu. Pułk wyrusza, już zmrokiem, w stronę Borzechowa.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Tren bojowy pozostaje w lesie w pogotowiu. Zostaje z komendantem Czechowskim przy trenie. Zapada noc. Gwarzymy, czuwając: może nadjechać z pułku posłaniec z rozkazem.

Jakieś dziwne dzieją się sprawy poza ścianą mroku. Tajemnicze przemarsze, przesuwanie jakoby walców żelaznych po zbożu—sciszone wgnioty kół po roli piaszczystej — liczne, zgłuszone tętenty.

Dochodzi nas daleki łomot karabinów. Wzmaga się, przechodzi w gorączkową, znaną już słuchowi młockę.

Naraz — z pobliskiej wsi (Kłodnicy), gdzie kwateruje pułk brygady, rozlegają się dźwięki orkiestry — mnogie krzyki: hurra!...

Zwycięstwo? Może zajęcie Dęblina?!

Nie, to bataljony, żegnane, wychodzą na pozycję.

Widać przez mroczną szreń majaki kolumn na zakręcie, jak wsiąkają w tajń nocy.

Dalekie łuny pożarów.

Nad ranem ordynans przyprowadza rannego konia pułkownika i, wystraszony, opowiada, że pułk był w walce, że dużo jest zabitych i rannych; mówi jednak tak troisto, że, widno, nic prócz strachu własnego nie widział.

O świcie otrzymuję rozkaz, bym się udał do pułku. Tren jeszcze ma pozostać. Jadę z jeźdźcem meldunko-

wym, który wskazuje drogę. Podążają też kuchnie polowe za nami.

Jedziemy naprzód polnemi szlakami, później trafiamy na drogę, z jakiejś wsi wiodącą, wreszcie dostajemy się na szosę.

Słońce już wyszło. Widać po ożywionym, wczesnym ruchu dnia, iż noc ta ważne jakieś spełniła zadanie. Przerwała jakąś tamę, ległą wpoprzek drogi, i oto się ruszyły wstrzymywane fale. Wałą szosą oddziały różnej broni. Turkoczą ciężkie skrzynie artyleryjskie, przemyka bokiem artylerja. Dążą treny. Wszystko na wschód.

Mijamy spalony Borzechów, który nocy wczorajszej tak jasno płonął. Spotkany doktor nasz pułkowy, kap. Bobrowski, który tu ma stację opatrunkową, objaśnia nas, że pułk ma jedenastu lekko rannych; zabitych wcale niema.

Za Borzechowem przejeżdżamy przez linię okopów rosyjskich, idącą grzbietem wzniesienia w obie strony szosy. Już samem położeniem panująca nad doliną, umocniona jest jeszcze przedpolami drutów, jak widać: przez ataki porozrywanemi.

Z dziwnem uczuciem patrzę na to pole zryte. Tu się tej nocy rozgrywał bój. Tu nasz pułk po raz pierwszy przyszedł na linię.

Za przechyleniem odsłania się pole równe z łęgami zbóż po obu stronach drogi, dalej na prawo i lewo niskie ścienia lasu. Szosa zmierza prosto i ginie gdzieś w schyleniu. Na tej szosie spotkaliśmy po raz pierwszy jadącą przeciw nas kawalkadę dziwną, którą odtąd już często mieliśmy za każdym odwrotem Moskali spotykać.

Długi rząd wozów chłopskich, ciągnionych z wysiłkiem przez chude, wybrakowane koniska. Pobok konia woźnica stary, ledwo wlokący nogi. Na wozie wąskim spiętrzony wszystek majątek: skrzynia, tłomoki różne, worków wypchanych parę, graty — na tem siedząca kobieta, dzierzżąca na ręku niemowlę, indziej gęś lub kojec z kurami — albo zaś kobieta idąca pobok fury, prowadząca krowę, lub cielę na powrozie, na furze zasię dzieci kilkoro drobnych jak w gnieździe — albo pomiędzy spiętrzonymi na wozie gratami dziecko śpiące, przy niem małe prosię, pod wozem na powrózku piesek. I tak z małemi przemianami jeden wóz za drugim. — A sznur tego długi — nieskończony, rzeka niedoli.

Skąd ci ludzie? Dokąd ta wędrówka?

Oto przez Moskali z miejscowości różnych zagarnięci, przyostali, przypadli w schronach lasu podczas ich odwrotu i teraz, dostawszy się na tę stronę ruchomej linii, wracają do swoich siedzib. — Ludzie szarzy, półmartwi z przebytych udręczeń, zdają się świata nie spostrzegać, w głąb swojej nędzy zapatrzeni. Wloką się, wloką — już im nic nie dziwne — wszystko widzieli: i pobranie synów, i pohańbienie córek, i spalenie w ich oczach dobytku. Wracają, wiedzą — na zgłiszcza. Ale na swoje. Mniejsza to już niedola, niż być gnanyymi w świat bez jutra.

Młodzieży wśród nich niema. Jeno starzy i dzieci.

Zapytuję pierwszego woźnicę:

— Skąd wyście, gospodarzu?

Pojrzał na mnie, na mundur, oczy mu się przygasłe jakby ożywiły.

— Z Urzędowa — mówi. — Ale wieś naszą spaliły.

— Wiem, przejeżdżaliśmy.

— I kościół, mówią, spalony.

— A czemuście nie ostali? czy was gwałtem zagarnęli?

— Straszyły Niemcami, że będą palić, rabować, a potem i gwałtem nas pędziły. Naród nie wiedział, czego się trzymać. To był popłoch, panie.

Poczem dodał:

— Ale dziś wiemy, kto wróg. Pokazały nam dowodnie. Już i ten mały, co na furze siedzi, zapamięta — wskazał biczyskiem na chłopczynę, może lat pięciu.

Zbliżyli się dalsi przejeżdżający.

— A czy też Kazimierzów nie spalony? — pyta kobieta jakaś.

— Nie, stoi cało.

— Bogu dzięki i wojsku waszemu. Nie miały już wiadać czasu spalić.

Mamy ruszać, gdy zwraca się do mnie jakiś stary:

— Wyście z polskiego wojska?

— Tak, ojcze.

— Niech wam Bóg szczęści!

— Bóg zapłać za dobre życzenie.

Mijamy ten pochód nędzy, a fura za furą odciska się w oczach niestartą nigdy pieczęcią.

Nie wszyscy jednak są tak szczęśliwi, by mieć konia i wóz. Ci idą pieszo, dźwigając na plecach dobytek swój, przy nich drepcą dzieci. — Są z różnych stron, ze wsi i z miasteczek, spoleni jedną niedolą; są zbliska, są od

Annopola, a nawet z tamtej strony Wisły, z Radomskiego.

Na prawo z gościńca w lesie biwakuje nasz pułk.

Skręcamy przez pole i stajemy w obozie. Rano jasne. Widać zmianę pewną w nastroju ludzi: odbicie dziejów krwawych nocy. A nawet czuć tę krwawość świeżą — odór bitwy — w okolnej atmosferze.

Udział pułku w bitwie minionej nocy tak się z relacyj przedstawia: Późnym wieczorem przyszedł pułk na pozycje pod Majdan Borzechowski i rozwinął się jako pierwsza rezerwa austriackich stanowisk. Bataljon I. kapitana Galicy na przedzie, za nim bataljony II. i III. pod dowództwem kp. Sikorskiego i por. Szerauca. Bój wrzał niezwykle zacięty. Rozwinięte w tyraljery, podsuwały się bataljony ku górze po świeżem ściernisku. Kule gęsto latały. Ze rzadka stojące kopki snopów dawały tym owym osłonę. Dużą potuchą dla chłopców, a ośmieleniem dla nowicjuszków było, iż widzieli, jak pułkownik przejeżdżał konno wśród kul pomiędzy tyraljerami, nie dbając zgoła na niebezpieczeństwo własne. Równie nie „dekowali się“ oficerowie komendanci. Kap. Galica podprowadził śmiało swój bataljon pod linię ostatnią okopów i do ataku nie doszedł tylko przez to, że już wojska austriackie linię nieprzyjacielską przełamały. Bój przesunął się za przechylenie ku lasowi, gdzie zażarte walki wręcz dokończyły dzieła. Wróg cofnął się w popłochu.

W komunikatach urzędowych bój pod Borzechowem zaznaczono jako najkrwawszy na tym odcinku.

Mieliśmy sposobność bezpośrednią oglądać część po-

bojowiska borzechowskiego pod Majdanem. W sąsiedztwie lasu, gdzie pułk stał obozem, przechodząc przez pole owsa poza gościńcem, co krok napotykało się jakieś przedmioty porzucone przez Moskali: koce brudne, ziemiste szynele, czapki, tornistry, kociołki, łyżki, ówdzie karabin, bagnet, ładownice, i moc rozsypanych naboii. Przy kraju lasu kilka sosen wysokich, czapistych — jak widać z drabin pozostałych: gniazda obserwacyjne. — Las świadczy o charakterze walki, jaka się tu rozgrywała. Co chwila dołki, zarycia, często dopiero zapoczęte. Żołnierz biegł od drzewa do drzewa, przypadał do ziemi, czynił łopatką dołek-osłonę, strzelał, podrywał się i znowu naprzód.

Oto trup żołnierza. Łopatkę jeszcze trzyma w dłoni. Dwa razy zdążył szczyptę ziemi podjąć, okopując się, i padł, rażony kulą.

A oto telefonista... Jak, skulony za drzewem, trzymał przy uchu słuchawkę — tak został w ruchu tym — — telefonuje.

Trzech rannych żołdatów pod drzewem. Jeden ciężko. Twarz straszna, obrzękła, cała w skrzepie krwi. Prosi wody oczami. Ktoś schylił się z manierką. Jeden oparty o pień, o nieprzyjemnym wyrazie: ryżej brodzie i małych, złych oczach. Ci są z pułku aleksiejewskiego. Ktoś mówi: twierdził lekarz austriacki sztabowy, że biorący w walkach tych udział sibirski pułk dobijał rannych. Uwierzyć trudno, a jednak niema nic niepodobnego.

Najduje się porzucone przez Moskali opatrunki z ja-
pońskim stemplem.

Sanitarjusze austriacy pracują od świtu.

Za lasem na niedużym płacie — setki trupów Moskali. Istne pole śmierci. Grzebią od rana, a końca nie widać. Stamtąd zawiewa czasem powietrze słodkawe, które o mdłość przyprawia. Dzień upalny.

Las, w którym pułk biwakuje, poryty rowami — widać ślady walk — lecz Moskale tu musieli ustępować szybko, do walki wręcz nie doszło.

W obozie, jak w obozie — życie normalne wstaje. Namioty wyrosły. Sprowadzono tren. Nadjechały wozy z prowiantami — sierżanci kompanijni odbierają przypadające im części. Pracują warsztaty: szewski i krawiecki. Lecz największy ruch koło warsztatu zbrojmistra pułkowego. Chłopcy powymieniali na pobojuwisku karabiny swoje (przerabiane rosyjskie) na pozostawione przez Moskali manlichery. Uciecha stąd nie mała.

Patrzymy na przemarsz brygady I., odbywający się poprzez las gościńcem. Sprawnie to wygląda. Zwłaszcza artylerja wzbudza podziw swoją solidną obsadą.

W tenże dzień przed południem odwiedził nasz pułk eksc. Durski. Przyjechał z adjutantem por. hr. Krasickim. Przyjmował ich przed lasem na koniu pułkownik Roja.

Ku wieczorowi sanitarjusze nasi pod wodzą lekarzy pułku idą na poszukiwanie. Donoszą: rannych w lesie za gościńcem wciąż jeszcze się spotyka.

Otrzymałem rozkaz, by odwieźć karabiny pozostałe do Komendy Legjonów w Borzechowie i przywieźć dla pułku z Komendy odprawę.

Korzystając z tego, że wozy prowiantowe miały wra-

cać próżno przez Borzechów — by podwód umyślnie nie zamawiać — poleciłem na dwa z nich naładować przygotowaną broń, i wieczorem, gdy oddział rzeczony trenu zpowrotem wyruszył, wsiadłszy na koń, poprowadziłem wozy z ładunkiem do miejsca przeznaczenia.

Komenda mieściła się w południowej stronie Borzechowa, w domku, który z niewieloma sąsiedniemi ocalał od pożaru.

Po wyładowaniu karabinów wozy odjechały.

Nim tę sprawę w Komendzie załatwiłem, nim otrzymałem odprawę, godzina była już późna, jedenasta lub dalej w noc.

Wsiadłem na konia i ruszyłem zpowrotem.

Gdy mijalem, jadąc środkiem wsi, zgłiszcza świeże i popieliska domów, przyszło mi na uwagę, że akurat o tym czasie przed dwiema dobami znajdowałem się u wrót tej samej wsi wobec słupów ognia. Wydawała się miastem płonącym — tak ją pożar wzniósł. Dachy świeciły jako kopuły ogniste. Gdzie właściciele tych domostw zanikłych? Ni żywej duszy. Czarna straż kominów...

Skręciłem na szosę, która przecina wieś, i jechałem stępą pod górę.

Po obu stronach drogi szło pole — przebijało zgasłym światłem ścierni przez ciemność nocy.

Na pewnej wysokości zobaczyłem stojącego koło drogi jeźdźca. Stał zwrócony koniem do gościńca.

Zapewne patrol. Wyglądał jak posąg odziany w mrok.

Przejeżdżając poprzedeń, sądziłem, że zapyta mię o hasło.

Milczenie.

Jechałem wolno dalej.

Myślę: wczorajszej nocy było tu hucznie djabelnie. Tu się rozgrywała bitwa, na tem stoczcu. Powyżej, w czole wzniesienia, ciągną się w obie strony drogi okopy rosyjskie. Teraz opuszczone pustkowie. I głusza. Jedyne chrzęst siodła w ciszy nocy. Zapewne w pułku już śpią. Północ będzie.

I, nie wiem skąd, przyszła mi na pamięć dawno zapomniana, słyszana w latach chłopięctwa opowieść wuja mojego, który gdzieś na Węgrzech osiadł i słuch o nim zaginął.

Służąc w roku 1870 przy ułanach, stał ze szwadronem swym koło Szegiedyna na Węgrzech. Dnia pewnego pojechał do sąsiedniego miasteczka i tam do późna się zabawił. Wracał w noc do oddziału swego. Padło mu jechać przez pusty dział. Ujechał kawał drogi — naraz słyszy za sobą turkot, niby jadącego wózka. Obziera się: — turkot ustaje, i nikogo na szosie nie widać. Rusza koniem — turkot znów się przywraca. I tak po kilkakroć. Odprowadziło go aż do wioski, w której stał kwarterą. Na drugi dzień usłyszał, że na drodze tej zastrzelony został ręką niewiadomą ułan, który za nim z miasteczka powracał. Tedy — powiada — zrozumiał, że to śmierć za nim jechała, nie dojechawszy.

Myśląc o tej opowieści, dojeżdżam pod wierch wzniesienia — mijam właśnie okopy rosyjskie, które się z obu stron drogi ciemną wyznaczają smugą...

Raptem — — koń mój gwałtownie rzuca się w bok. O włos, żem nie spadł. Opanowałem go ledwie.

Jadąc dalej, myślę, co mogło być w rowie, iż się koń złąkł. Czyby trup jaki pozostał. Przejeżdżając tędy rano, nic podobnego nie zauważyłem. Widziałem okopy puste.

Tedy — niewiada przez jaką analogję — wyobraziło mi się, iż na lewo od szosy we zbożu czai się ranny Moskał z karabinem. Nawet domyślam się który. Ten, pod drzewem spotkany, o ryżej brodzie, o niskiem, zarosniętem czole i małych, złych oczkach. Wyczołgał się z lasu o zmierzchu i tu się przywłókł...

Karabin w dłoni ścisną, słysząc tętent. Na tle nieba koń i jeździec widoczni: cel dobry.

A teraz właśnie podniósł do oka karabin i mierzy...

— Padnie — myślę — strzał.

Schyliłem się odruchem na grzbiet konia.

— Dlaczego strzał nie pada?

Wszystko to naraz wydało mi się bardzo śmieszne.

— Ciekawym, czy nie usłyszę jeszcze owego turkotu...

Zdała zobaczyłem wyznaczający się w mroku majak lasu, jakby ściany gościnne domu. Światła dawno pogaśły. Gdym przybył do obozu, pułk spał snem głębokim.

— — — — —

Nazajutrz dzień wstał jeszcze upalniejszy. Powietrze, które już wczora dawało się przykro znosić, stawało się z godziny na godzinę coraz uciążliwsze. Rozkład szybko postępował. Z południa — to już było tak jak w odrzwiach trupiarni. Z pola śmierci szły fale trujące

i roznosiły się nad ziemią. Odór zabijający przeciągał w bezwietrzu parnym pomiędzy ścianami lasu.

Z tej przyczyny każe pułkownik przenieść obóz na drugą stronę lasu, od południa, gdzie nie dochodziły zawiwy trujące.

Pod wieczór się ma, gdy zaczynają ściągać grupy oddziałów na upatrzone wprzód miejsca. Najdują się tu miłe partje leśne z młodzieżą sośnianą i wysokimi brzózkami. Teren kwaterunkowy zapowiada się dość zachęcająco. Koło lasu biegnie droga, mało jeżdżona. Napotykanie koło niej zaczątki rowów, doły i pojedyncze zakopy, tak od strony lasu, jak i po kraju stłoczonego żyta, mówią o szybkim posuwaniu się tu walk ku stronie wschodniej.

Przy drodze zatrzymuje wzrok mogiłka samotna żołnierza. Widać, wykopał sobie dół w gliniastej ziemi — po kraju żyta — może nie zdążył jeszcze zeń wystrzelić — i padł, rażony kulą. Koledzy nie mieli czasu kopać grobu — przysypali go w tym dole ziemią, którą on wyrzucił: — jeszcze część kopca została, świadcząc, jako to było. Na mogiłce zatknęli krzyż, naprędce z dwóch prostych deszczulek zбитy — imienia nie wypisali — na krzyżu zawiesili czapkę infanterzysty. Niewypowiedziany wyraz ma ta czapka zrudziała, zatknięta na krzyżu, z uszami na nierówne ramiona krzyża smętnie opadłemi. Bezimienny infanterzysta — milion, chodzący od krańca do krańca Europy, gdzieś na obcych drogach w dół, własną ręką wygrzebion, stoczony. Oto los jego. Jak ta czapka.

Stanął już w kraju lasu namiot pułkownika. Wyro-

sło parę innych. Pionierzy, ściąwszy brzoźki z liśćmi, sporządzają altanę dla sztabu na wieczerzę. Spieszą się, bo zmierzch już zachodzi. Orkiestra próbuje instrumentów, poczyną jakiś kawałek — —

Naraz: jeździec z rozkazem Komendy. Rozkaz brzmi: Wymarsz niezwłoczny pod Czołnę. Mamy zlu-zować z pozycji pułk 31.

Altany nie dokończono. Zebrano szybko namioty. Bataljony już się szykują na drodze za lasem. Tren w po-gotowiu.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

O zmroku wyruszył pułk, w kierunku wschodnim. Adjutant posłany naprzód dla wyznaczenia miejsca i zbadania warunków terenu. Mijamy wioskę Połówek, rozłożoną koło szosy, gdzie stoi część brygady pierwszej. Poczem droga wynosi się na dział. Skręcamy z szosy na prawo, na rozbież pól, między zboża zżęte i stojące. Spotkany chłop z pod Majdanu wskazuje kierunek drogi przez obszary zagonne — do Czołny.

Noc cicha, księżycem, dogasającym na zachodzie, słabo prześwietlana. Cicho też suną długie majacze kolumny, skręcają się u wylotów miedz, jako wąż pełzną pomiędzy zboża szelestne z wyniosłego, półwidnego działu.

Naraz uderzą w powietrze, jak grom jasny, huczne dźwięki orkiestry pułkowej. „Marsz Czwartaków...”

Odegną się, wyprostują przytrwożone tajnią nocy serca żołnierskie. Pewność, otucha w nie wstąpi. Tak pułk czwarty hucznie podchodzi na pozycję.

W tę noc księżycą cichą wybuchające z wysokiego działu dźwięki orkiestry czwartackiej są jak wyzwanie śmiałe. Donosi je też zapewne cisza nocna do niewidnych pozycji wroga. Mówił nam później znajomy oficer Polak z 31. pułku obrony krajowej:

— Siedzimy w okopach w nocy, czekając na zmianę. Cicho, nudnie. Naraz słyszymy: muzyka. Znane dźwięki marsza... Niemcy zdziwieni pytają: „Was ist das? Was für eine Musik“? A my, co nas Polaków było, słuchamy wzruszeni. „Bartoszu...” — „Jeszcze Polska...” Łzy nam się do oczu cisną. Poznaliśmy, że to Legjonów pułk jakiś przychodzi.

Zstępujemy do wsi Czołny.

Domy jak zamarte. Po sadach poza opłotkami jakieś przyczajone treny. Wszystko sciszone. Czuje się niedalekość wroga.

Drogą pomiędzy rzędami chałup bataljony w milczeniu przechodzą. Księżyc zaszedł. Na ziemię zsunęła się ciemność.

Skrećamy drogą na pola. Jakaś łąka, jakieś dźwigające się wzniesienia. Oszlaki zboża i majaki kóp. Na lewo wyżej mrocznia lasu.

Bataljony rozwijają się w kolumny. Idą rozkazy sciszone. Podchodzimy ku lasowi dla upatrzenia miejsca na kwaterę noclegową sztabu. Prowadząc konie za uzdy, wchodzimy w ciemności wnętrza. Słyszymy przechodzące koło ściany lasu oddziały wojsk: wracają pod osłoną nocy z pozycji. Zasię inne przychodzą na zmianę.

W lesie, jak w lochach więziennych: odór powietrzny, odraza. Wiążemy konie do drzew na jakimś przestrzeńszym placu — a oto coś się w ciemności łomota. Trzask gałęzi, potknięcia. Pojrzenie latarki... To nasz bataljon pierwszy. Przechodzi przez ośmę lasu.

Namiot Komendy pułku stanął na otwartem polu, na ścierni, ścianą snopów od południowej strony maskowany. Tuż obok przy skraju leśnym usadowiło się ucho pułku, telefon.

Noc przeszła na czujnym spoczynku. Gdy świt rozwidnił ziemię, ujrzelśmy się na przechyłości rozległego wzgórza, którego połac wschodnią las objął. Schylenie południowe schodziło ku jakiejś wsi, rzeczce, zaczem wynosiło się znów płatami pól przeciwległych ku leśnym grzebieniom, wieńczącym oddalne, górujące nad okolicą wzniesienie.

Pod onemi grzebieniami lasu dały się nawet gołym okiem dostrzec, niby miedze w zbożu, linje pozycyj nieprzyjacielskich.

Wdole, we wsi, za rzeczką, niewidne przez osłoń sadów, były pozycje nasze, obsadzone tej nocy przez brygadę pierwszą.

Bataljony trzy naszego pułku stały, jako rezerwa brygady, w lesie wyżej wspomnianym, który w raportach nazwano „pod Czołną“.

Tam przebyliśmy pięć dni całych, od 25. do 30. lipca.

Treny pod las ściągnięto. Bataljony z oddziałami karabinów maszynowych rozmieściły się oddzielnie w różnych częściach lasu, każdy w swoim niejako rewirze.

Las był obszerny, lecz niezachęcający wnętrzem, bo zanieczyszczony srodze postojami wojsk, zdeptany, znieważony w swojej świątynności.

Już odtąd w drodze dalszej nie spotkamy lasu — chyba dopiero za Bugiem — którego wnętrze nie by-

łoby nie sprofanowane. Ów opiewany bór polski, pełen osobliwego uroku i życia, stał się przez przechód wojny wydeptaną stajnią. Życie z jego zakątów uciekło: zwierzyzny, ni ptaka nie upatrzeć.

To też pułkownik, zwolennik piękna pierwotnego ziemi i przestronnego oddechu, omijał, jeśli mógł jeno, cuchnące taborem ludzkim i skażone, choćby wygodne, kwatery, a wybierał na postój, krótszy czy dłuższy, miejsca nietknięte, poza wsiami, na wzgórzach, za lasem. Przyczem mniej cenił nieraz bezpieczeństwo własne, niż dar świeżego oddechu.

I tu namioty Komendy pozostały na otwartem polu, na wzniesieniu, choć, z pozycyj nieprzyjacielskich widoczne, mogły ściągnąć na się deszcz szrapneli. Lasek maskujący, który z zatkniętych w ziemię gałęzi wyrósł o wschodzie wokoło namiotów, nie złudziłby obserwatora bystrego. Takich Moskałe na szczęście nie mieli, nie mieli też amunicji dostatka. Ośm armatnich strzałów wypuszczali dziennie, kierowanych na baterje nasze, które im szkody niemałe zrzędały, lub do wsi na dół, gdzie stała brygada pierwsza. Tam zdołali pociskami zapalić parę domów.

Przez pierwsze dwa dni naszego w lesie pod Czołną postoju padał deszcz. Wysilek też obozu całego skierowany był ku temu, by się od wilgoci zabezpieczyć. Rozpinano celty, otaczano je rowkami, któryś z oficerów bataljonu III. sporządził sobie nawet przemyślne schronisko ziemne. — Las namiotów stożkowych wyrósł w przeredziach leśnych.

W sąsiedztwie naszym stał jeszcze pułk 31. obrony

krajowej, wstrzymany od wymarszu deszczem. Dowiedziawszy się wraz z kap. Galicą i chor. Gwiżdżem, że jest w pułku tym porucznik Jakób Zachemski, nasz krajan-Podhalanin, odwiedziliśmy go w jego ociekłym namiocie; i tam w lesie „pod Czołną“ odbyliśmy — członkowie komitetu wykonawczego Podhalan — posiedzenie, gwarząc o dziwnym losie, który nas tu przyniósł, radując serce wspomnianiem naszej wysokiej ojczyzny, i tem, że Podhale tak godnie stanęło, najwięcej z ziem polskich, bo prawie półtora tysiąca, dając chłopców-ochotników do Legjonów.

W drugi dzień przyrzekł obecność swą w Komendzie pułku naszego na wieczery ekscelencja Durski. Mimo że deszcz lał jak z cebra, zjawił się u nas o zmroku z adjutantem swym por. hr. Krasickim. W altanie, z olchowych kijów sporządzonej, której dach, pomimo pokrycia celtami, przeciekał, odbyła się skromna kolacja z przeszkodami. Ekscelencja przyjmował te niedogody z humorem, pokrywając wszystko swoją wytworną prostotą. Orkiestra grała wśród ulewy, popisował się też chór Legjonistów w mroczni lasu. Przy stole, ociekłym deszczem, wywinęły się anegdoty wesole, opowieści. Późno we wieczór opuścił Ekscelencja naszą kwaterę leśną.

Życie w obozie, gdy deszcz ustał, rozniecilo się na dobre. Warsztaty, jak bazary, porozkładały u wejścia namiotów swoje liche stoły. Kancelarja pułkowa, kryjąca się przed deszczem z aktami w zachronie celt, rozpoczęła urzędowanie na słońcu pod baldachimem konarów. W kompanjach, niby w poodłączanych kureniach,

swoiste życie rozdziało. Przejść wśród namiotów: — ten się wczasuje, ów czyści broń — ówdzie kółko przyjaciół wesołe — tamten naprawia garderobę, inny kompot sobie w menażce nad ogieńkiem warzy — jakiś opieka gęś. A oto węż ściągające, spreparowane, nad ogniem rozpięte całe prosię. Z odpowiednią powagą siedzą przed nim wyczekująco właściciele spółki.

Ukazały się dwa pisma obozowe: jedno satyryczno-humorystyczne, *Reluton*, i drugie poważne, *Czwartak*. Usiłowania, by połączyć obie redakcje, skutku nie odniosły.

Nadeszła do pułku poczta, pierwsza od wyruszenia. Z nią przyszły też z Piotrkowa wieści hiobowe, że „podobno połowa pułku czwartego zginęła“, że nas już niema i t. p. Wielce nas to ubawiło. Do kroniki pułku przybyła jedna humorystyczna rubryka: wieści z za frontu.

Tymczasem życie w obozie beztroskliwie szło. Chłopcy, zwiedziawszy się o miodzie w osiedlu pobliskim, o wiśniach poniżej we wsi i innych pokusach smaku, wyprawiali się po nie pojedynką lub grupkami, niewiele sobie robiąc z wart przyleśnych, które miały przykaz niepuszczania żołnierzy przez pole otwarte, aby nie ściągnąć kręceniem się ludzi uwagi obserwatora nieprzyjacielskiego.

Że nie gorzej się działo i w brygadzie pierwszej, zajmującej przed nami pozycje we wsi, mieliśmy sposobność stwierdzić choćby z następującego przydarzenia. Przeprowadzono koło nas kilku jeńców-Moskali, wziętych w takich okolicznościach: poszli oni do chałup w pasie między pozycjami na kury; w tym samym celu

wyprawilo się do tychże chałup kilku relutonów z brygady — jeno z tą różnicą, że ci mieli z sobą karabiny, a Moskale nie. Wzięli ich przeto jak swoich.

Poczta nadniosła gazety. Czytaliśmy też co dnia komunikaty urzędowe, załączone w rozkazach Komendy. Dowiedzieliśmy się z nich, że kilka furtów Dęblina zdobyto, że z lewego brzegu Wisły wygarnują Moskale.

Stało przed nami w onym lesie pod Czołną marzenie: Lublin-miasto. Zapewne — i dochodziły nas słyny o tem — Moskale utwierdzają się na wzgórzach przed Lublinem, lecz ostatecznie tam, wierzyliśmy, po dwóch—trzech tygodniach walk dojdziemy. Kierunek czoła naszego: na Lublin.

R O Z D Z I A Ł Ó S M Y

Dyspozycja na dzień 29/VII. brzmiała:

Czwarta armja rozpocznie dalszą ofensywę. Silne oddziały I. brygady, w ścisłej łączności z 60. brygadą, przekroczą zagłębienie Radawczyk-Babin o świcie 29/VII. — Jako rezerwa, pułk 4. — Wszystkie oddziały Leg. Pol. stać będą w pogotowiu, aby przejść w danej chwili natychmiast do ataku, względnie — gdyby nieprzyjaciel natarł — powstrzymać go.

Zaczem jeszcze z wieczora na 29. nakazano w pułku ostre pogotowie. Wydano dyspozycję komendantom bataljonów i komendantom oddziałów karabinów maszynowych.

O 3. godzinie w nocy — — alarm. Słyszymy: atak na obu skrzydłach. Posunięto bataljony. Pułk jednak nie wszedł w działanie.

Przez cały dzień 29. stały oddziały pułku w pogotowiu. Wieczorem zanieciły się na skłonie północno-wschodnim łuny dalekie pożarów. Olbrzymia łuna z wyjawem — zdało się — płomieni wykwitła w stronie Lublina. Mówią: to Lublin się pali... Gniew nas ogarnia bezsilny. Miasto pragnione... Nie zdążymy.

Dn. 30. lipca wczas rano zarządzono wymarsz.

Już dnia poprzedniego dane były dyspozycje odnośne, to też pułk zwinął się szybko. Godzina nie uszła,

jak wszystko spakowane — porządkiem unormowanym pułk wyruszył.

Mija nas sznur konnicy Beliny. Gdzieś spieszą. Słyszymy, że por. Ostoja ze swym oddziałem przejechał. Czyżby już do Lublina? Nie wskazują na to dyspozycje, wydane bataljonowym, iżby marsz odbywał się w boju pogotowiu.

Wkraczamy do wsi, gdzie stała brygada pierwsza. Widać odcinki rowów wzdłuż rzeczki i rzadkie doły okopanych tyraljerskich. Łączki, moczary, z których dźwiga się połogie zbocze pól.

W połowie wsi bataljony otrzymują rozkaz rozwinięcia się w kolumny rezerwowe, co gdy wykonały z precyzją, nadchodzi zmiana: maszerować dalej, na Radawczyk.

Ruszamy więc pod górę, mijamy wozy trenowe brygady — u czoła wzniesienia napotykamy znakomicie urządzone pozycje rosyjskie. Dalej za przechyleniem cmentarz, z napoły porozbijanymi nagrobkami. Stała tu, widać, baterja nieprzyjacielska, i nasza artylerja ostrzeliwała to miejsce. — Słyszymy, że patrole wylapują po lasach (na prawo) Moskali.

W drodze otrzymuje Komenda pułku odpis rozkazu (do brygady I.):

Nieprzyjaciel na całym froncie 4. armji w odwrocie. Komenda armji nakazuje bezwzględny pościg aż do linii potoku Ciemięga. Brygada I. starać się ma dojść jednym ciągiem do linii Dąbrowice—Płonszowice. Czwarty pułk podejdzie do Uniszowic. Komenda Legjonów do folwarku Motycz.

Dążymy dalej, mijając rzadkie osady. W Teresinie zarządzono krótki spoczynek obiadowy. Komenda pułku staje przy jakiejś chacie koło sadu. Dostajemy garnek mleka kwaśnego, chleb razowy, masło. Migiem się to minęło. — Kuchnie pułkowe nadciągnęły, wydają kompanjom obiad.

Odwiedza Komendę pułku ekscel. Durski, w przejeździe do Motycza.

Z południa ruszamy dalej wskazaną drogą na Motycz. Bataljony maszerują w pewnych odstępach za nami .

Dobijamy do toru kolejowego. Komenda pułku wysła meldunek:

Godzina 3. po poł. 4. pułk przekracza linię kolejową Iwanogród—Lublin.

Mijamy tor, na prawo zostaje stacja Konopnica, i wyjeżdżamy na szosę, idącą z zachodu do Lublina.

Jakżeż nam przykro, że będąc tak blisko upragnionego miasta, musimy — podług wskazanego kierunku pościgu — wyminąć je i, dziesięć wiorst jeno oddaleni, przejść dalej na północ.

Widzimy już ze wzniesienia wizję białych i różowych wież, niby zjawę podkrakowskich Bielan.

— Lublin...

Mijamy, jadąc szosą, drogę do Motycza — aż zatrzymujemy się u wylotu drogi bocznej, obsadzonej drzewami, wiodącej do Uniszowic. Tam naznaczono na dzisiejszą noc kwaterę pułku.

Nadjeżdża właśnie paru jeźdźców od strony Lubli-

na. Porucznik Kleeberg, zastępca szefa sztabu Komendy Legjonów.

— To od Lublinianek — mówi, podając różę pułkownikowi. Opowiada z zachwytem o mieście, o powitaniu entuzjastycznym, jakie spotkało pierwszych wjeżdżających do miasta: ułanów Ostoi i ułanów Beliny.

— Kto chce jechać do Lublina? — rzecze pułkownik. — Ja niestety nie mogę. Orkan? Bobrowski?

— Rozkaz.

Nie ociągając się, ruszamy z kopyta. Z nami por. Rawnikar. Pędzimy bez wytchnienia, aż konie pot oblał.

Zwalniamy. Wyłania się miasto w blaskach zórz zachodu. Różowe wieże i mury nad złotem pól zbóż...

— — — — —
Nie będę opisywał szczegółowo przyjęcia, jakiego w Lublinie doznaliśmy.

Na zawsze w pamięci serc zostaną te chwile tym z legjonistów, którzy mieli szczęście stanąć w Lublinie w pierwszy dzień po wyjściu Moskali.

Czuło się po martwocie ziem Zawiśla, po oziębłej rezerwie Piotrkowa, że się do Polski wjechało.

Ulice rojne, tętniące ruchem oswobodzenia, twarze radosne, okrzyki witające — życzliwość oczu spotykanych — gościnność otwarta serc — entuzjazm wolności. Młodzież, z piwnic wywarta na ulicę — już w szeregach ochotniczych, w szarych mundurach strzeleckich... Wszystko to w obliczu walki, przy bliskim huku dział.

Wchodzimy do składu aptecznego. Subjekt prosi nas do pokoju obok. Zastajemy tam grono osób: kilku księży uciekinierów z okolicy, kilku miejscowych obywateli.

— Prosimy! prosimy!

— My was tu już, panowie, od rana czekamy.

Porywano nas w ramiona. Wiwaty, „zdrowia“ toka-
jem — przemowy gęste.

— Dzięki Bogu i wam, miasto ocalało. Ledwie pocztę
zdołali podpalić.

Doktorowi zaofiarowano na odchodnym kilkanaście
flaszek konjaku i starego tokaja dla chorych.

Jesteśmy w składzie wędlin. Po poczynionych dla
pułku zakupach, gospodarz zwraca się do nas, że „żona
prosi, byśmy im tę łaskę uczynili i wstąpili na górę na
herbatę.“ Herbata owa — to wspaniałe przyjęcie. Cała
rodzina, panny sklepowe, ksiądz z siostrą z okolicy tu
schroniony. A najciekawsze nas dwa dziewczątka, jeżeli
pamiętam dobrze: Stefka i Janka. Opatrują nas ze
wszystkich stron.

— Ona chce o coś prosić — mówi Janka.

— Żeby mi pan dał tego orzełka, co pan ma na
czapce — mówi odważnie Stefka.

— Ależ Stefciu! — woła matka.

— Ja chcę orzełka.

— One, proszę pana, ze strychu przez okienko na
zmianę od świtu wyglądały, kiedy legjoniści wejdą.

— Mam już orzełka! mam!

Wieczór spotykamy kolegów z pułku. Pułkownik
uwolnił po kilku z bataljonu oficerów na wieczór do
Lublina.

Całą pierśią chłoną entuzjazm miasta, nim przed
świtaniem wróca.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

— Pułk czwarty w ogniu!

Taką wiadomość przywiózł ktoś do Lublina dnia następnego z południa.

Konie odesłane do pułku — czekamy na powóz przyrzeczony. Doktor niecierpliwi się, przeżywa niepokój, jako lekarz pułkowy, podwójnie.

Huk armat z północnej strony miasta. Na ulicach tłok. Ludzie z niepokojem patrzą na wracające treny.

Nareszcie powóz przybył — ruszamy. Niestety, nie mogąc jechać drogą wprost, która nadto ku pozycjom zbliżona — czy też mylnie poinformowani — musimy uczynić koło, jadąc drogą nieznaną na zachód.

Ciemno już, gdy dojeżdżamy do wsi Konopnicy.

W stronie północnej pożarów kilkanaście.

Huk armat, przez całą drogę grzmiący okrutnie, przycicha. Natomiast wrywa się klekot karabinów.

Skręcamy w stronę Motycza. Pułk nasz ma być w Płonszowicach.

Błądzimy. Ciemność, potęgowana łunami pożarów, oślepiając, kładzie się, jak tajemnica nieodgadniona pod stopami.

I ta straszna, nerwowa młocka karabinów... Wybłyski rakiet. Zmieszane okrzyki: „Hurra“!... Nagłe momenty ciszy.

— Coś się tam straszno dzieje... Pułk nasz... Byle prędeż!

Mijamy Motycz-dwór — okna oświetlone jak w szpitalu. Krótszą drogą przez pola... Już blisko...

— Fury jakieś... Kto jedzie?

— Ranni z czwartego pułku.

— Kto? Kto? — zeskakujemy.

— Porucznik Bończa-Uzdowski, podchor. Otto, chor. Krajewski...

Pytania prędkie: — Jak? co?

— Pułk atakował. Bataljony pierwszy i trzeci. Strat sporo.

— A jużem był z kompanją — mówi Bończa — coś 60 do 80 kroków od drutów, kiedy „psia kość — cholera“ dostałem kulką dwa razy.

— Gdzie?

— Szczęśliwie, w nogę — mówi ze zwykłym humorem i ucisza jęczącego na furze towarzysza.

Żegnamy się, życząc rychłego powrotu do zdrowia. Doktor naspiesza, nagli.

Poomacku, z przeszkodami, dobijamy wreszcie do Płonszowic, do chałup w kotlinie pod lasem, gdzie mieści się stacja opatrunkowa 4-go pułku. Pracuje tu por. dr. Kollątaj z paru sanitariuszami. — Rannych znoszą a znoszą. Co partję opatrzoną odprawią na wozach do Motycza, nowa nadpływa. Dr. Bobrowski zakasał rękawy, zabrał się do roboty. — Zostawiamy go, ruszamy w górę przez las do Komendy pułku.

Wszedł świt 1-go sierpnia.

Odkrył, wyjawił się oczom: od wczoraj wsławiony krwawo teren „pod Jastkowem“.

Namiot Komendy pułku mieści się pod dębem u samego czoła wzniesienia, od południa. Wokół ściern. Korona dębu rozłożyła przenosi grzbiet. Na wschód i zachód rzucone ramiona płaskowyżu. To na wschód prawie równe, o szerokim pogrzbieciu, na którym golizny ścierni, płaty owsa, czub lasku i poza światłem zbóż dalsze ścienna lasu. — Namiot od strony północnej osłonięty jest snopami zboża.

Tuż poniżej namiotu bataljon II-gi kapitana Sikorskiego, okopany, w rezerwie.

Ludzie śpią, prócz wart i telefonistów. Sen ciężki, po przeżyciach dnia wczorajszego i nocy ubiegłej.

Świt jasny wstał. Mimo to czuje się przygniot minionych wydarzeń — jak w domu po nieszczęściu. Idzie z pobladłych twarzy, z oczu przymierzchłych, z tajemnicy pól.

Leniwe pogłosy strzałów, jak krople po burzy przeszłej, donoszą się z bliskich pozycji.

Przechodzę grzbietem wzniesienia ku przechyleniu północnemu, skąd roztwiera się widok na teren boju.

Falą długą, przegiętą staczają się po łagodnym spadku ku północy odsłonięte pola, na których calizna ścierni z potraconymi snopami i przyostały w przegięciu łąki zboża. Nierówne stocza przejmują długą, wąską łąkę, nad którą lassek brzozy. A z prawa i z lewa łąki wydzwigują się opadłe pola, wychodząc płatami zbóż, koniczyn, w podobnie naprzeciw ległe, jeno na oko wyższe, wyniesienie.

Na obrzeżu onego wyniesienia, od strony lewej a prawie w promieniu północy, większe skupisko drzew, wychodzących czołami na światło nieba: Jastków. A zasię z prawej wkraczająca na horyzont linja szosy Lublin-Jastków, znaczone pochodem drzew.

Na wyniesieniu tem dominującym, od Jastkowa wzdłuż szosy, przechodzące przez nią w ukos, ledwie dla oka znaczne: pozycje rosyjskie.

Poniż tych pozycyj, naprzeciw Jastkowa, na lewo od lasku brzozowego okopał się nasz bataljon III.

Na prawo od tegoż lasku, na pochyłości wśród zbóż, u straży samotnej gruszy, przypadł ku ziemi bataljon I.

Wyznaczają się rdzawo rwane linje zakopów, w pośpiechu poczynione.

Idę po ściernisku w stronę wschodu, rozważając scenę przypuszczalną dnia wczorajszego. Kule bzykają, jak muchy w dzień upalny.

Przejeżdża mimo na koniu pułkownik, jako zazwyczaj w osępie chmurnym zamyślenia, którego treści nie przeznaczyć.

— — — — —

Akcja dnia poprzedniego tak się w świetle relacyj i meldunków pułkowych przedstawia:

Pułk 4-ty, jak było naznaczone, stał kwaterą jako rezerwa w nocy z 30. na 31. lipca w Uniszowicach.

Dyspozycja ogólna na dzień 31/VII. opiewała:

IX korpus rozpocznie o godzinie 7. przedpoł. dalsze posuwanie się, i o ile na linji Garbów—Kurów znajdują się tylko tylne straże nieprzyjacielskie, zaatakuje je i odrzuci. Jest przeto rzeczą

najwyższej wagi wywieźć się, czy na stanowisku tem znajdując się główne siły nieprzyjacielskie, czy tylko tylne oddziały. Wywiady te zarządzi brygada I-sza i pułk 4-ty Leg. Pol. Przestrzeń ataku Legionów Polskich na wschód: Barak — wylot zachodni Snopkowa, na zachód: wylot zachodni Jastkowa. Na lewo Legionów Polskich brygada 60., na prawo 41. dywizja.

Kwatera Komendy Legionów: Płonszowice, brygady I.: Barak, pułku 4-ego: Lasek na południe od Jastkowa. Zakład sanitarny: w Motyczu na folwarku.

Dnia 31. o godzinie 6 rano Komenda pułku 4 otrzymała rozkaz:

Na południe od potoku Ciemięga, na wzgórzach, znajdują się nieprzyjacielskie punkta obrony, odrutowane i prawdopodobnie przez tylne stráže obsadzone. Atak na te pozycje rozpocznie się o godz. 7-ej przedpoł. Pułk 4-ty wraz z brygadą 1-szą, w ścisłej ze sobą łączności, wezmą udział w tym ataku.

Już o świcie tegoż dnia podprowadził pułkownik Roja oddziały swoje na wzniesienie między Aleksandrowską Stawką a Barakiem. Tu założywszy na wyniosłości pod dębem kwaterę Komendy pułku, skąd łatwo można było objąć okiem teren boju, zarządził dalszą akcję. Bataljon I-szy skierował na prawe skrzydło, bataljon III-ci na lewe, zaś bataljon II-gi zatrzymał jako rezerwę pułkową.

Komendant bataljonu III-go, kap. Szerauc, rozwinął odrazu swoje kompanje cztery (które wiedli por. Nowakowski, Rutkowski, Baczyński i podpor. Kamiński) i począł posuwać je po falistym, opadającym na północ terenie, z dyrekcją na Jastków. Miał przed sobą szeroki obszar do przebycia, grunt odśnieżony i ku wyniesionym pozycjom rosyjskim schylony. Zmalale płaty zbóż na ca-

liznach ścierni jako też nielicznie natrafiane snopy nieznacznie tylko mogły dać osłonę przed gęstym ogniem nieprzyjacielskim, który siał ze wzgórz jastkowskich. Mimo to w przebiegu krótkim zesunęły się kompanje nasze daleko po grzbietach gruntu i zetknęły się od lewa z oddziałami pierwszego pułku brygady, który również na Jastków miał rzucone czoło.

Zaś kap. Galica, przesunawszy bataljon swój na wschodnią połąć wzniesienia, na północny kraj lasu, który miał być podstawą operacyjną skrzydła prawego, pozostawił tam dwie kompanje, pierwszą i drugą (por. Bończy i Grzybowskiego) w rezerwie, a dwie z por. Udółowiczem i podpor. Grefnerem) pchnął naprzód. — Tu naprzeciw wzdłuż szosy lubelskiej idące rosyjskie pozycje znacznie były przybliżone, a że szły w ukos z nachyleniem południowo-wschodniem, mogła zachodzić obawa flankowego ognia. Mający zająć odcinek łączący nasze prawe skrzydła z 41-szą dywizją, pułk 3-ci brygady I. jeszcze nie był nadszedł.

Dzielił pozycje nieprzyjacielskie od stanowisk pierwszego bataljonu teren o kształcie rozwartego siodła. Grunt staczał się z wyniesienia lasu, poczem po załamaniu łagodnem wynosił się rozległą pochylnią ku drzewami wyznaczanej szosie. Wyścielała go jaśnia zbóż i ściernisk. Na środku w załamaniu stała samotna grusza. — Przeznaczone do wstępnej akcji, trzecia i czwarta, kompanje zbiegły z pagórka z pod lasu i, ostrzeliwane gęsto, przypadły w zagłębieniu. Weszły też niebawem w akcję bojową dwie kompanje rezerwowe. Wszczął się gwałtowny ogień.

A oto meldunki, które w tym dniu pułkownik do Komendy Leg. w Płonszowicach wysłał:

Dnia 31/VII. godzina 8 przed południem. Nieprzyjaciel wzdłuż szosy Garbów—Lublin silnie obwarowany. Na pozycje te prowadzę atak już od g. 7. Prawem skrzydłem zbliżony jestem do okopów nieprzyjacielskich na 500 i 300 x, natomiast lewe skrzydło, pomieszczone z 1. pułkiem brygady I., znajduje się na 800—1000 x od linii nieprzyjacielskiej. Dalsze posuwanie się ze względu na silny ogień, także artyleryjski, i liczne straty, jest utrudnione. — Na mojem prawem skrzydle jest ciągle luka, którą silnemi patrolami uzupełniam, utrzymując w ten sposób łączność z 41. dywizją.

Roja.

Dnia 31/VII. godz. 9.45 przed południem. Moje prawe skrzydło jest silnie ostrzeliwane od strony Józefowa. Daje się tutaj zauważyć wzmocnienie linii bojowej. Przesuwam tam część rezerw pułkowych.

Roja.

Kompanja por. Zulaufa z II. baonu zostaje przesunięta ku skrzydłu prawemu. Dwie kompanje rezerwowe baonu I., przechodząc w linię, podsunęły się tuż natenczas ku gruszy.

Dnia 31/VII. godz. 11 przed południem. 3. pułk brygady I. wchodzi w odcinek pomiędzy mną a 41. dywizją, jednakowoż nieco wtył za mojem prawem skrzydłem. Moje prawe skrzydło znajduje się obecnie na 200 kroków przed okopami nieprzyjacielskimi.

Roja.

Dnia 31/VII. godzinie 5 po południu. Posunąłem także mój środek ku okopom nieprzyjacielskim na odległość 500 x. W nocy będę usiłował przełamać linię nieprzyjacielską. Dotychczas 4 zabitych i 18 rannych, w tem 1 oficer ciężko ranny.

Roja.

Dyspozycja ataku (Angriffsdisposition) wydana przez brygadiera Piłsudskiego na wieczór tegoż dnia:

Dąbrowice, dnia 31/VII., godzina 5.30 po południu.

1) O godz. 7. wieczór rozpocznie się ogólny atak na froncie I. brygady Leg. Pol.

2) Atakują:

3. pułk p. z silną rezerwą na prawem skrzydle. Kierunek ataku na prawo: spalona szopa na wschód od Józefowa ⊕ 309.

4. pułk p. wszystkimi siłami zaatakuję nieprzyjacielskie stanowisko (Stützpunkt) pod Józefowem i okopy na północny-zachód stamtąd, wzdłuż szosy. Lewe skrzydło pułku ma mieć kierunek na Jastków-dwór.

1. pułk p. na lewym skrzydle zaatakuję Jastków.

3) 2. pułk p. stać będzie w pogotowiu jako rezerwa odcinka na północnym skraju lasu, na północny wschód od Płonszowic.

4) Przygotowanie artylerji rozpocznie się o godz. 6.40 po południu i trwać będzie do godziny 7.10 po południu.

O godz. 7. wysłane będą z całego frontu patrole dla przecinania przeszkód drutowych. O godzinie 7. ruszy linja tyraljerska (Schwarmlinie) przeciw stanowiskom nieprzyjacielskim pod Józefowem i Jastkowem.

Polskie baterje 4. i 5. będą trzymały część okopów, które na wschód Józefowa przebiegają szosę, pod flankowym ogniem.

J. Piłsudski.

W oznaczonym czasie artylerja zaczęła swoją introdukcję grzmotową. Mimo piekielnego huk — bo i ze strony nieprzyjaciela wzmógł się ogień działowy — przygotowanie artyleryjskie do ataku, podług zdania doświadczonych oficerów, nie było takie gruntowne, jakby — wobec widnej jeszcze godziny (7-ma, lipiec) — mogło i powinno być.

O godzinie 7-mej, poprzedzane patrolami, ruszyły dwa bataljony pułku czwartego, I. i III., do ataku.

Teren, jak się już wspomniało, był od dominujących, silnie na wyniesieniu odrutowanych, nieprzyjacielskich stanowisk ku naszym następującym oddziałom schylony i do ataku od czoła wielce niedogodny. Zwłaszcza bataljon I-szy miał niefortunny plach terenu, bo oczom wroga otwarty i na ogień skrzydłowy od wschodniego przebiegu szosy narażony. Naprzeciw, wdali, wśród drzew Józefowa umieszczona nieprzyjacielska silna baterja miała teren obstrzału widoczny — mogła zasypać szrapnelami podbiegające szeregi.

Mimo to — i chociaż więcej niż połowa żołnierzy pułku było pierwszy raz w obliczu podobnej przeraźni — wiara szła odważnie naprzód. Podbiegała plutonami na rozkaz swoich dowódców i przypadała na moment niedługi ku ziemi — by się zerwać znów, gdy ogień zdawał się przygasać.

Z pozycyj rosyjskich lały salwy gęste — grały z wydechami krótkimi karabiny maszynowe — kosiły kosy śmierci.

Już niektóre kompanje nasze wydarły się naprzód — już niektóre plutony podbiegły w momencie krótkim pod same druty rosyjskie. Ogień straszny, rażący — śmierć i ranienie dowódców — wstrzymały pęd...

Padł Roliński, chorąży, pluton czwarty pierwszej kompanji prowadzący. Padł młodziutki Bereski u samych wrót piekieł: u zajazi drutów — ręką jeszcze skrzepłą, wyciągniętą, z rewolwerem w zaciśniętej dłoni wskazując drogę swemu plutonowi...

Upadł, raniony podwójnie, dzielny oficer Bończa,

kompanję pierwszą bataljonu I-go wiodący. Zastąpił go chorąży de Lavaux.

W tejże drodze ataku na prawem skrzydle ranieni: chor. Krajewski, Gruber, Wyczałkowski, podchor. Otto, Majkuciński i Polakiewicz. Raniony też por. Pieracki, z siódmą kompanją bataljonu II-go dla wzmocnienia ataku na skrzydło prawe przysłany.

To samo w trzecim bataljonie. Ranieni oficerowie: por. Rutkowski, podpor. Jamróg, chor. Gutek i podchor. Krzysik.

W tymże stosunku ubyło w kompanji szarż i szeregowców. Oczywistą byłoby stratą — wobec ulewy ognia — iść naprzód. Nastąpiło siłą rzeczy wstrzymanie ataku — i tyle jeno wahnienia wstecznego wysforowanych zanadto oddziałów, aby wyrównać linję.

Wieczór nadał pułkownik Roja depeszę telefoniczną do Komendy Legionów tej treści:

Sądząc po silnym ogniu i ilości karabinów maszynowych, skoncentrował nieprzyjaciel naprzeciw frontu 4-go pułku znaczne siły, i dlatego mógłby się udać łatwiej atak 41-szej dywizji lub 60-tej brygady. — 4 pułk po ustaleniu linji okopie się i będzie usiłował jeszcze raz w nocy dostać się do nieprzyjacielskich okopów.

Tak więc kompanje nasze, przerzedzone, ustaliwszy linję czoła, przywarowały ku ziemi — wgryzły, wkoपाły się w grunt, zdobyty krwawo — wysyłając czujne macki patroli w tajń mroku, rozwidniając zdradliwie rakietami, ku niedalekim pozycjom wroga.

Około godziny 10-ej w nocy przedsięwziął nieprzyjaciel ruchy kontrataku, na nasze prawe skrzydło i na lewe 3. pułku I. brygady, próbował też wedrzeć się kli-

nem między I-szy a III-ci nasz bataljon, co udaremniły pchnięte tam kompanje rezerwowe 6-a i 7-ma bataljonu drugiego pod komendą por. Witożenia, zaś nierozwinięty zaczn kontrataku szczeł u progu rozmachu pod ogniem naszych pozycyj. Dużą usługę oddał tu na prawem skrzydle komendant oddziału karabinów maszynowych, chor. Ajdukiewicz, który pozostawszy po ustaleniu linji na poprzedniem, wysuniętem daleko stanowisku, w dużej mierze przyczynił się do podcięcia zamierzonego kontrataku. Dopiero o godz. 3.30 nad ranem cofnął się do najbliższych okopów pod gruszą.

Dyspozycja Komendy Legjonów na dzień następny (1/VIII).

1) Dywizja utrzyma w nocy osiągnięte stanowiska.

2) Armja przeprowadzi jutro atak dalej. X. korpus naciera najpierw.

3) Gdyby nieprzyjaciel do świtu nie opuścił swych stanowisk, to zaatakują go Legjony Polskie oraz 41. dywizja.

(Dalsze odnośne do ewentualnego pościgu.)

Depesza telef. Komendy 4-go pułku do Komendy Leg., nadana 1/VIII o godz. 3.15 rano:

4 pułk zajmuje pozycje, zajęte wczoraj w nocy, na przestrzeni od zachodniego wylotu Paniensznej do zachodniego wylotu Jastkowa. Rezerwa pułkowa: trzy kompanje. Linja boju w środku na przeciw „Gut“ jest oddalona od szosy na Lublin około 100 kroków. Na wschód od 4. pułku znajduje się w łączności 3. pułk I. brygady, na zachód 1. pułk I. brygady. Patrole wysłane nocą ku okopom nieprzyjacielskim zostały odrzucone. — Pułk poniósł przy wczorajszym ataku znaczne straty.

I oto świt, wzeszły nad zroszonym krwią polem „pod Jastkowem“, zastał szeregi nasze daleko na terenie niewdzięcznym przypadłe i po przesilku nocy zbiegłej czujnie wypoczywające. Linje bataljonów — na lewo i na prawo lasu brzozowego — znaczyły się rdzawymi wyrzutami ziemi, jak pozaczynane zakopy drenowe.

Przechodzę grzbietem wzniesienia na wschód ku lasowi, stamtąd pod kątem prostym przez stocze pól, ku samotnej na przestrzeni gruszy, ku okopom bataljonu 1-go.

Zaraz na wstępie spotykam komendanta bataljonu, Galicę, i adjutanta Relidzyńskiego. Twarze ich przyszarzałe tchną jakąś surową powagą, która pozostała w nich po momentach przeżytych ostatnio.

— Piekło tu było, bracie... — mówi Relidzyński. — Człowiek nie wierzy, że to mógł przeżyć, i że słońce wstało... A ta ręka, wiesz — ta ręka wciąż widna — oszaleć!

— Jaka, czyja ręka?

— Bereskiego. Znałeś go — wiesz, ten — jak panielka. Jak padł w ataku pod drutami, z ręką wyciągniętą, wskazującą — tak został. Ręka sterczy ku niebu, jakby pomocy przyzywał. Widać przez szkła z pozycji bliższej. Słaliśmy patrole — podpełzały, żeby go wyjąć stamtąd — ale, odkrywane, wobec ognia silnego nie mogły dojść. Teraz w dzień niepodobna. Z nastaniem zmroku będziemy próbować. Mam sposób jeden... może się uda. Ach, bracie!

— Siedmiu mi oficerów brak — mówi Galica. — Kompanje stopniały... Ale jak wiara szła! żebyś wi-

dział!... I kieby nie ogień z flanki... bylibyśmy już tam! — wskazał ku pozycjom rosyjskim.

Wracając tą samą drogą, naszedłem w skraju lasu rezerwę skrzydła naszego: bataljon drugiego pułku I. brygady w okopach. Ludzie wstawali właśnie ze swoich gli niastych grobów. — Tam śpi major Berbecki... — wskaza no mi u skrzydła rowu dół, zarzucony słomą.

— — — — —

W kwaterze Komendy pułku — pod dębem. Przed namiotem stół ustawiony: śniadanie. Naprzykrza się nieustannie nierówny klekot strzałów. Kule przenoszą grzbiet i bzykaniem lub świstem przecinają ze rzadka powietrze, niektóre, osłabłe lotem, padają w snopy leżące lub zarywają się w szczelinę ścierni.

Poniżej namiotu w zagłębieniu — kuchnia polowa sztabu. Jedna z kul przelatujących zraniła ponoś kuchcika — drugiemu znów kula wytrąciła talerz z ręki. Tedy jeden z kucharzy melduje się do raportu: że chciałby iść „na linję, bo w kuchni niebezpieczno“.

Przy stole siedzi z nami porucznik Pieracki. Rozmawia, nawet z humorem. Nagle pułkownik zwraca się doń: — Skąd pan tu? Przecież pan ranny!

Teraz dopiero widzimy jego bladość i cały wysiłek woli. Pierś ma przestrzeloną. Pierwszy opatrunek założony. Czeka, mówi, na rachunkowego oficera pułku, by z nim załatwić kasę kompanijną, nim do szpitala pojedzie.

Odwiedza pułkownika sąsiadujący z nami kapitan artylerji, Polak, komendant baterji, przeznaczonej dla

popierania akcji naszych walczących oddziałów. Zaproszony na śniadanie, opowiada o ważniejszych swych na wojnie przeżyciach, przechodzi do wrażenia z wczorajszego dnia i mówi, że „tylko pod Gorlicami był widzem podobnie gwałtownego ognia“.

Gdy siedzimy jeszcze przy stole, przychodzi rozkaz:

O godz. 11-tej przed południem rozpocznie się atak. Podsunąć się i przygotować. Artylerja rozpocznie ogień o 10-tej przed południem.

Komenda Legionów. (Z rozkazu 19-go korpusu.)

Patrzymy na zegarki: godzina 9.45.

— To na mnie już czas — podnosi się kapitan. Żegnając się, dodaje: — Będę czynił, co się da.

Pułkownik też niezwłocznie — po zakomunikowaniu rozkazu komendantom — udaje się na pozycję.

W kwaterze „pod dębem“.

Armaty poczynają grzmieć. Z pobliskiej baterji wypadają raz po raz wybuchy — dzwonią hukiem, jak młoty spiżowe. Śmiercionośne chichoty przelatują po lukach powietrznych ku przeciwnym jastkowskim wzniesieniom. — Z przestankami krótkimi trwa to chwile spore.

Depesza telef. z pozycji (500 m. na półn.-wschód Jastkowa) do Komendy Leg. w Płonszowicach:

Dnia 1/VIII. Godzina 10.50 przed poł. — 4 pułk dotarł tuż pod okopy nieprzyjacielskie na wschód od Jastkowa.

Chwile natężonego oczekiwania uchodzą. Grzmot armat po przestanku ożywa się ze wzmożoną siłą. Czuje się jednak, że przygotowanie artyleryjskie ataku za słabe. Myśl liczy minuty w trwodze.

Godzina jedenasta... Mija. Armaty ucichają. Atak nie doszedł do skutku.

Popołudniu tegoż dnia, pod pozycją bataljonu III-go. Siedzimy, pólleżąc, we zbożu pod zachylą wzgórza przy kraju lasu brzozowego. Pułkownik kończy opóźniony obiad. — Nadchodzi komendant bataljonu, kap. Szerauc, później komendant oddziału karabinów maszynowych, por. Klisiewicz. Mówią o sprawach dnia. A dzień jasny, słońce łagodnie przyświeca — wierzyć się nie chce, że oto bitwa się toczy.

Kule gęsto przelatują. Ucho łowi je, jak różne tony orkiestry, w szaleństwie skomponowanej. Dziwnie bogata skala ich wygłosu, jako i skala uczuć — jeśli tak rzec można. Są różnego gatunku, wzięwszy przyrodniczo, i przytem mocno zindywidualizowane. Jedne brzęczą w przelocie, jak muchy, o niepewnym, niejasnym zamiarze; drugie bzykają, jak bąki nadąsane; inne jak osy złe, kąśliwe. Są znowu kule-węże, które grzechocą w powietrzu, albo świszczą, mijając ofiarę (te znane w tonie powszechniej) lub które z sykiem zdradliwym mkną nad ziemią. Są kule-ptaszki, które górą z wysokim śpiewem się niosą, jakby błogosławiące. Są przypadkowe, jak kamiki z procy Dawida puszczane. Niektóre grają przedziwnie jakiś sen o ukoju śmierci...

W tę — można rzec — czułą symfonię kul miesza się i maści ją, rozbija obojętny i suchy trzask ekrazytówek. Gęsto trzaskają. Od czasu do czasu zaszeleści któraś z kul we zbożu, ciapnie o snopek. Zabawa.

Znagła wypływa koło nas ze zboża adjutant kap. Szerauca, chor. Brzozowski. Ma on wynalazek własny, zdobycz tych dni. Wobec tego, że Moskałe salwami witają każdą ukazującą się głowę, nauczył się po zbożu pod wierzchnią fal pływać. Posyłany z rozkazami do kompanji na skrzydła, daje nurka w zboże i przy pomocy wystudjowanych rzutów cudownie, lekko ślizga się w susach szczupaczych — jeno we wstecznym kierunku — po ziemi, i wypływa szczęśliwie na miejscu przeznaczenia. Poleca się przytem Bogu w opiekę, aniołom, a dla pewności i wschodnim bóstwom, których kult wyniósł z Syrii — i ma humor w tem wszystkim: nie utonie.

Melduje się do kap. Szerauca szeregowiec z patroli, z raportem. Pułkownik zaciekał się, wypytuje go. Ten składa informacje ważne, zwięzłe. Widać orientację bystrą, żywą inteligencję i coś jeszcze — ponadto, co bije światłem z oczu niebieskich, a co możnaby nazwać duchem ochoczym służby.

— Dawno pan w Legjonach?

— Od początku, panie pułkowniku. Całą kampanję karpacką przeszedłem.

— Czem pan w cywilu?

— Suplent gimnazjalny.

— Szeregowiec?

— Tak jest, panie pułkowniku.

— Mianuję pana sierżantem. Będzie w jutrzejszym rozkazie. Nazwisko pańskie?

— Dziękuję panu pułkownikowi za uznanie, lecz pragnę do końca zostać szeregowcem.

Na temże miejscu, nad wieczorem.

Jakaś postać żołnierska, skacząc po zbożu na jednej nodze, zbliża się ku nam. Poznajemy: ppor. Grefner, z pierwszego bataljonu, Przestrzeloną ma stopę naukos. Pierwszy opatrunek założony. Rozpruty but pieczolowicie dzierży w rękę. Odpoczął chwilę przy nas i pokuszył dalej.

— Ktoś jęczy w zbożu — mówi por. Klisiewicz.

— Zdaje się tylko.

— Na pewno słyszałem jęk.

Podniósł się, przyzwał żołnierza przechodzącego pod laskiem — poszli. Widzimy: opodal pochylili się, coś podnoszą. A za chwilę przenoszą koło nas rannego. Od rana tam leżał, słabym jękiem dając znać o sobie. Chłód nadwieczorny orzeźwił go, począł jęczeć głośniej.

Na łączkę, pod las, znoszą sanitariusze rannych. Cały ich pokos. Przykro spojrzeć. Jakiś bezsens potworny staje przed oczyma. Wojna — dobrze. Trud wojny — jeszcze. Ale ranni? Zabici?...

Depesza telef. z zakładu sanitarnego w Motyczu do Komendy Leg.:

Dnia 1/VIII. godz. 6. wieczór. Dotychczas przybyło 232 rannych legjonistów; z tych czterech umarło.

Rogalski.

W dzień pierwszy bitwy pod Jastkowem zginęli dwaj sanitariusze z pułku 4-go: Rachwał i Warchałowski. Padli bohaterską śmiercią, czyniąc więcej nad swój obowiązek.

Dzień 2. sierpnia przeszedł na zwykłej obustronnej strzelaninie. Już się tak ucho wzwyczało do tego klekotu, że stał się normalną rzeczą, jak hurkot we młynie.

Pod wieczór zarządził pułkownik zluzowanie bataljonu I-go przez bataljon II-gi.

Zmierzch zapadał. — Jeszcze nie zdążył kap. Sikorski oddziałów swych przeprowadzić na stronę wschodnią wzniesienia — gdy z pozycji, z lewego skrzydła naszego, doniosły się zmieszane okrzyki: „hurra!“ — wzmożła się palba karabinów — przeszła w bezwładną młockę — zaczęły grać karabiny maszynowe...

Telefon z Komendy pułku dowołać się nie może odpowiedzi: co się tam dzieje? Atak?

Wypadł pułkownik, jak stał, porwał napotkane pod laskiem plutony rezerwy i skoczył ku pozycjom Szerauca. — Aliści dość szybko wyjaśniła się rzecz. Oto linją okopów od strony lewej, może aż od Wisły, telefonem żywym podawana, doszła do naszych stanowisk wieść (przedwcześnie, jak się okazało) o upadku twier-

dzy Dębłina. Wiara krzyknęła: „hurra!“ Moskale, sądząc, że to okrzyki ataku, poczęli strzelać jak szaleni. Nasi odpowiadali — i stąd się zakotłowało.

Wieczorem późnym rozniosły się po niebie od północnego wschodu łuny pożarów. A w nocy nad świtanie Moskale się cofnęli.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Wczesnym rankiem dnia 3. sierpnia ruszył pułk w oznaczonym kierunku pościgu. — Podług zarządzenia na odchodnem: pionierzy z oddziałem kompanji technicznej Komendy Leg. mają przeszukać zboża, czy rannych lub trupów niema, i zająć się grobami.

Przechodzimy opuszczone świeżo pozycje rosyjskie. Stąd widać, jak na dłoni, półmisowe schylenie terenu, który pułk nasz zajmował — stąd się dopiero obejmuje „for“ tych pozycyj.

Nad brzegiem rowu przy okopach — trup moskiewskiego żołdata. Jak widać: szrapnelem zabity. Twarz żółta, o wydatnych kościach policzkowych, o ryżej szczeci brody, zębach drobno siekanych, zaciętych. Ma wyraz zabitego polnego chomika.

Schodzimy na szosę jastkowską. Zarządzony chwilowy spoczynek dla zejścia się ciągnących polami oddziałów i śniadania. Pułkownik, zawezwany, pojechał do dworu w Jastkowie, gdzie stanęła Komenda korpusu.

Mijają nas oddziały piechotne I. brygady. Przejeżdża część sztabu Komendy Legjonów. Nadciągają treny.

Pułkownik wraca, zapowiadając odwiedziny jego eksc. Komendanta korpusu, który osobiście pragnie podziękować pułkowi czwartemu za jastkowską sprawę.

Jakoż niebawem zjawia się zapowiedziany Komendant. Oficerowie i szarże ustawili się kołem obok szosy. Komendant wkracza w koło i przechodzi koleją od skrzydła. Przedstawiamy się służbowo. Jego ekscelencja podaje każdemu dłoń, poczem wyraża

wszystkim oficerom, szarżom i żołnierzom 4. pułku najgorętsze podziękowanie i najwyższe uznanie w imieniu Najwyższej Służby za nieustraszone męstwo i poświęcenie w bitwie pod Jastkowem w dniach 31. lipca, 1. i 2. sierpnia, a zwłaszcza za przeprowadzenie szturmów 31. lipca i 1. sierpnia, podczas których nietylko nasz front został posunięty ku okopom nieprzyjacielskim, ale które nadto spowodowały przesunięcie rezerw nieprzyjacielskich przed front 4. pułku, osłabiając przez to nieprzyjacielskie prawe skrzydło, co w następstwie przełamanie tegoż skrzydła spowodowało.

Pochwała ta na rozkaz j. eksc. Komendanta korpusu ma być wszystkim legionistom podana do wiadomości.

(Z rozkazu pułkowego 3/VIII. nr. 82).

Po wypoczynku ruszamy. Kierunek marszu: Kra-sienin.

We wsi Jastkowie, przez którą droga prowadzi, dymią się jeszcze zgliszcza domostw.

Na jednym obejściu, na którym sterty popiołu tlejące zostały z zabudowań, chłop podletni zwłóczy na kupę sprzęty ocalałe: przodek wozu, żelaza pogięte młockarni, beczkę szerniałą, łózko...

Mówić nie może z ciężkości, jaka mu pierś ugniata. Dał żołdatowi 10. rubli, coby go nie palił. „Ciebie nie spalę — powiada żołdat — ale jewreja, sąsiada twego, spalić muszę.“ A dom Żyda przytykał strzechą do jego chałupy...

Z poza opłotków, z opalonych sadów ze rzadka ukaże się stępała twarz kobiety starej lub rozszerzone załęką oczu dziecka. Młodzieży nie uświadczy: wróg zabrał.

Minąwszy Jastków, dążymy drogą na północ o nachyleniu wschodniem.

Na płaszczyźnie obszernej — widać — suną szlakami mniej więcej równoległymi łyskliwe węże kolumn, falują oprószone, tysiączne, nieprzeliczone szeregi — wszystko na północ. Wszystkiemi szlakami płaszczyny lubelskiej naspiesza pościg dyszący. Za tułowiami ruchliwymi kolumn nadążają — aż po widnokrąg szarzące — ogony trenów.

Dziwnie mocne wrażenie czyni ten pochód nieprzerwany, w którym tysiące są jak jedna fala.

Przerwała się wstrzymująca tama — i rzeki, oswobodzone, ruszyły... Dokąd? Gdzie dojdą? Co je podola zatrzymać? Przed myślą — na widnokregu pościgu — wiję się, jak marzenie, błękitna wstęga Bugu.

Uwagę naszą zaczepiają oryginalne dźwięki orkiestry z szeregów austriackich, przechodzących mimo. Za zbliżeniem się sprawdzamy, że całą tę orkiestrę tworzą: bęben i harmonijka.

Pod Krasieninem wchodzimy w aleję szeroką, gdzie też sphywają z pól piaszczystych szeregi okurzone. Teraz płyną niejako łączną rzeką, nim się za wsią rozszczepią.

Minąwszy wąwóz wsi, w nim oddział kawalerji, który wraca z pościgu (znak, że Moskale gdzieś się zatrzymali), przechodzimy zakrętem popod dwór krasieniński,

gdzie w sadzie widzimy spoczywający sztab Komendy Legjonów — i dalej podążamy.

Koło drogi w polu za stajaniem ścierni — kilka domostw. Odpoczynek chwilowy. Chłopcy rzucili się za poszukiwaniem wody.

Wychodzi ku nam z osiedla kobieta i zgłasza skarb: garnczek mleka, który przed Moskalami zdołała utaić. Resztę — powiada — co było, zabrali.

— Cud, że dom ostał, że was nie spalili.

— Boska opieka. Chciały palić, ale nie miały już czasu. Patrole wasze były we wsi. Kazały się nam zbierać, straszyły, że Niemcy idą, że nas będą męczyć... Ja im na to: „Już nie trza bardziej, jak wy nas, cholery, męczycie. Nigdzie się z domu swojego nie ruszę.“ Groziły, że gwałtem nas zabiorą — ja nic. Com się miała bać. Widziałam, że same są w strachu. Porwały, co im się dało — i w nogi.

— Dawno to było?

— Dziś rano. Jeszcze się przechwalały, że wnet wrócą, że was jeno wciągają w pułapkę.

— A wy jak myślicie: wrócą?

— Myślę, że nie. Że Bóg tę pychę ich złamie.

Pożegnawszy rezolutną kobietę, ruszamy.

Pochód rozwija się dalej. Idą kolumny wzdłuż drogi, rozchodzą się na rozwidleniach dróg, wsiąkają w napotypany zaciem lasu.

Szeregi nasze brną po piaszczystym gruncie. Pył warstwami pokrywa mundury siwe.

Dzień upalny. Marsz srodze nużący. Lecz świado-

mość pościgu zdwaja siły — myśl wyrywa się do nieświadomego końca drogi.

W szeregach bataljonu II-go, po boku swego plutonu maszeruje z tornistrem na plecach znajomy mi jeszcze z „cywilu“ podchorąży B., przyrodnik, docent uniwersytetu. Nikły fizycznie, słabej konstrukcji, zdaje się: padnie pod ciężarem tornistra. A on uśmiecha się, gdy go mijam, i gdy pot spływa mu z czoła, a nogi z trudem przesypują piach — oczy niebieskie z poza światel okularów wyrażają jakąś radość, rzecz można: szczęśliwość trudu. — Przebył całą kampanję karpacką jako żołnierz, ukończył szkołę podchorążych, i kiedy jego koledzy awansowali już dawno, on został w cieniu swej skromności, z tornistrem maszeruje. Nie narzeka na trud, nie skarży się, w radości pełni swą służbę. — Ile razy go mijam, zawdy ten uśmiech jego we mgle kurzu widzę. W trudzie jawni się idea legjonowa: radosny sekret wytrwania.

Ława pościgu na chwilę wstrzymana.

Nocleg na polach pod Majdanem Krasienińskim. Dociągły kuchnie — ludzie mogą się pożywić. Jak zwyczajnie, z wieczora i do późna w noc rozchodzą się po skłonie nieba, szeroko, na łuku północno-wschodnim, łuny pożarów.

Na drugi dzień przychodzi wieść o dalszem cofaniu się nieprzyjaciela. Zarządzony też dalszy pościg.

Idziemy na Stoczek. Po drodze napotykamy między stawami spuszczone dopalający się most na grobli, który pionierzy nasi odbudowują. Obchodzimy i po-

dążamy dalej drogami piaszczystemi wśród spotykanych niedopalek zgliszcz.

Przechodzimy przez rozłożoną wzdłuż drogi Wólkę Krasienińską i docieramy do Dąbrówki. Tu także zerwany most na rzeczce koło młynów; staw młynny jak i przykopy—spuszczone. Około kładki ścisk. Przeprowadzają się honwedzi. Z trudem przeciska się nasz bataljon II. Oddział karabinów maszynowych przeprowadza się w bród przez wodę, która tu jak staw rozlana. — I dalej w górę przez wieś, gdzie stoją komendy węgierskie, później przez pustać odludną — drogą piaszczystą — w las.

Bataljony I-szy i III-ci zostały. Bataljon II-gi ma podejść na pozycję, pod Kozłówkę. Tam nieprzyjaciel próbuje oporu.

Długą ulicą wśród ścian lasu posuwa się nasz bataljon naprzód. Dochodzi do skrzyżowania dróg leśnych, gdzie się ma okopać jako rezerwa pierwsza oddziałów węgierskich. Jedna kompanja, por. Zulaufa, ma złuzować honwedów na prawem skrzydle pozycji.

Pułkownik udaje się ku tej pozycji i bierze mnie ze sobą. Idziemy drogą leśną o wylocie na wschód.

Na prawo las wysoki — na lewo sośniane zalesie. Gdy to się ucina, biegnie pod kątem prostym do drogi rów pozycji naszych.

Przed oczyma otwiera się na wschód przestrzeń widna, o niskich i rzadkich krzakach.

W oddali wieś czubami drzew wzniesionych rysująca się: Kozłówka.

Przed tą wsią rosyjskie pozycje. Stamtąd pukają gęsto karabiny, nadlatują śpiewające kule.

Odpowiadają im honwedzi z rowu przyleśnego.

Schodzimy w narożnik rowu, skąd biegnie skrótem dla oczu linja ognia: postaci oparte o ścianę gliny, kłęczące, po lufach karabinów na wschód uparcie wpatrzone.

Za chwilę zjawia się koło nas w skraju leśnym por. Zulauf: melduje pułkownikowi, że kompanja jego jest tuż za nim, gotowa do zluzowania.

Pułkownik, ostrzegając, by się nie wychylał, daje mu jakoweś dyspozycje, dotyczące zmiany. Poczem zabieramy się zpowrotem przez lasek. Widzimy w gąszczu sośnianym przesuwające się postaci legjonistów.

Nie uszliśmy do czterdziestu kroków, gdy nas wstrzymuje wołanie. Kap. Sikorski szuka pułkownika. Przyszędł tą samą drogą za nami. Wychodzi ku nam na przedzie lasku...

Znagła przesywa powietrze charakterystyczny znajomy świst — pęka szrapnel.

— Musieli zauważyć ruch — ktoś mówi.

Świst znowu — i odgłosy pękania: jeden, drugi, trzeci... Ponad nami.

— Kryć się! — komenda do chłopców.

Znajdujemy się wśród kępek sosenek na trawniku, przez który biegnie rów leśny. Kłonimy się do onego rowu.

Świsty i detonacje rozlegają się raz po raz nad nami.

Jęki — wzywania sanitariuszy — ze stron kilku.

Wywłóczy się z krzaków ranny jeden, drugi...

Wreszcie ulewa pocisków minęła.

Ostrzeliwano kwadrat leśny, na którym właśnie kompanja por. Zulaufa się znajdowała.

Dziewięciu ludzi nam raniono.

Wracamy ku skrzyżowaniu dróg do lasu. — Lekarz pułkowy, kap. dr Bobrowski, z pomocą lekarza bataljonowego opatruje rannych. Przynoszą mu też kilku żołnierzy węgierskich do opatrzenia.

Zjawia się ułan z I-szej brygady, beliniak, żądając wozu. Padł bowiem na drodze leśnej ich komendant ppor. Wysoki, gdy się podsunął z patrołą. Wozy, niestety, jakie były, odjechały z rannymi.

Ku wieczorowi przydarzył się epizod ciekawy. Widzimy: sześciu drabów w szynelach, z karabinami, prowadzi nasz telefonista bezbronny. Ujął ich, a raczej zdali się mu, gdy ich napotkał w lesie, zakładając druty. „Dość już — powiadają — mamy wojny; chcemy odpocząć.“

Zarządzono pod wieczór przesunięcie bataljonu do Bratnika, o jakie dwie wiorsty na lewo. Wśród strzałów gęstych przy zapadzie zmierzchu przesunęły się oddziały na wskazane miejsce.

Komenda pułku stanęła kwaterą w stodole na wysuniętym folwarku. Bataljon II-gi zajął pozycje przednie przed folwarkiem. Bataljony I-szy i III-ci, które nadeszły w tym czasie, zajęły stanowisko, jako rezerwa, w kraju pobliskim lasu.

Noc ciemna przeszła stosunkowo cicho. Zwykła strzelanina liczyła się jako rzecz normalna, jak np. tykanie zegara, które nie płoszy snu. — Rano miał jednak lekarz kilku rannych z bataljonu II. do opatrzenia. Wyrosła też

mogła czwartacka z krzyżem białym, brzożowym, u zejścia dróg pod lasem.

Folwark wyjawiał się za dnia jako prostokąt zabudowań — stodół, stajen i chat — zamykających dziedziniec obszerny, a położony na czole płaszczyzny, która na wschód opadała do wsi, rzeczonyj wyżej Kozłówki, obsadzonej przez nieprzyjaciela. Nad czuby drzew wynosiły się wieże kościoła, a na prawym, wyżnionym końcu wydłużonej wsi widniały w otoczy parku szczytowe mury pałacu: dobre punkty obserwacyjne dla wroga.

Można było być pewnym, że zaczną ostrzeliwać folwark, gdy zauważą ruch na nim. — A nasze miłe ordynanse i kuchciki czyniły ruch prawdziwie folwarczny. Mimo zakazu kręciły się po dziedzińcu: była potrzeba lub nie.

Na dodatek, około 9. godz. poczęły zajeżdżać na dziedziniec wozy bojowego trenu...

Otrzymały rozkaz cofnięcia się natychmiast i ustawienia się na łące za osłoną stodół.

Nie zdołały jeszcze wszystkie zawrócić, gdy ozwał się znajomy świst — jeden — drugi — trzeci...

Jakby stado jastrzębi wpadło na dziedziniec. Powstało zamieszanie.

Pułkownik mył się w stodole. Wypadł w koszuli rozpiętej — rzekłbyś: Kmicic — i w momencie sprowadził ład.

Widzieć było wtenczas nasz zazwyczaj opieszaly tren. Można rzec: skrzydeł dostał — tak rwał zpowrotem do lasu.

Szrapneli kilkanaście puszczono na folwark. Szczy-

ściem, szkód w ludziach nie było. Jakichś parę kontuzyj drobnych. Zdarzyła się przytem zabawna rzecz. Jakiegoś telefoniście kulka szrapnela przebiła na plecach zwieszoną manierkę, w której miał dopiero co z kotła nalaną gorącą kawę. Ciecz gorąca poczęła spływać po nim... I on, czując po uderzeniu płynącą po sobie „krew“, począł wołać, bliski omdlenia: „Sanitarjusz! Sanitarjusz!“ Aż go odratowano, pokazując mu ranę głęboką — w manierce.

Otrzymuję rozkaz pojechania w sprawie służbowej do Lublina. Zbieram się, jadę.

Jeszcze nie wyjechałem z lasu, gdy uderza mię niezwykle ożywienie wśród mijanych koło drogi rezerw. Ludzie wybiegają na drogę z okopów, krzyczą coś, podają dalej radośnie. Madziarzy: trudno ich zrozumieć. Niekiedy zrywa się łączny okrzyk: „eljen!“ który echo po lesie roznosi. Z dalszych partyj lasu dolatują też huczne okrzyki. Jakąś dobrą nowinę dostali — myślę, naspieszając.

Gdy wjeżdżam do Wólki Krasienińskiej, gdzie stała Komenda Legjonów, zaraz na wstępie wita mię ruch niezwyčajny. Orkiestra gra — ludzie się kupią przed kwarterą sztabu — na chatach chorągiewki biało-czerwone. Nastrój święta.

— Cóżto za uroczystość? — pytam napotkanego znajomego oficera sztabu.

— Jakto? Nie wiesz?... Warszawa wzięta!

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Wracając z Lublina na trzeci dzień, dowiaduję się w drodze, że Moskale cofają się ku rzece Wieprz, że pułk 4. wczoraj wyruszył z Bratnika i znajduje się w Kieszkówce.

Po przenocowaniu w Bratniku na tymże folwarku, gdzie zastaję nasz tren prowiantowy, ruszam przez Kozłówkę, częściowo spaloną (większą część wsi z kościołem i pałacem nasz pułk następujący uratował), Kamionkę i jeszcze jakąś miejscowość, do Kieszkówki. Pułku tu już swego nie zastaję: gonię więc we wskazanym mi kierunku dalej.

Z południa wjeżdżam do palącego się Michowa, który pociski rosyjskie zapaliły. Wśród gorąca — dym duszący przepalonych strzech — natłok przechodzących wojsk — istne przedsienie piekła.

Dowiaduję się, że stoi tu cała Komenda Legionów. Odszukuję więc w części ocalałej wsi kwaterę sztabu, by się o pułk swój zapytać. Mówią mi, że znajduje się na pozycji pod Węgielcami.

Nad wieczorem dobijam do naszego trenu bojowego, który stoi na łące moczarzystej koło lasu. Tam też pod namiotem naprędce wzniesionym założył dr Bobrowski stację opatrunkową.

Nazajutrz z rana, gdy się w pobliżu baterje ciężkie

ustawiły, zarządzono przesunięcie trenów na drugą stronę łąk ku południowi, poza osłonę leśną.

Udaję się ku pozycjom. — Bataljony I. i II. okopane na zboczu wzniesienia, jako rezerwy. — Z drugiej strony płaskogórza na przechyli grzbietu, w pobliżu chałup Węgielce, przypadł bataljon II. Tuż kwatera Komendy pułku, pod zachroną stodoły. Sąsiedni dach chałupy służy jako obserwatorium.

Stąd przed oczyma roztacza się wpoprzek wgłębiona dolina Wieprza, poza którą — na wyniosłych brzegach — nieprzyjacielskie mocne pozycje. — Niedarmo odgrażali się przez usta jeńców, że tu nas zatrzymają.

Dowiaduję się, że rankiem rzucił się pułkownik nasz z pionierami ku rzece budować most spalony naprzeciw miejscowości Łysobyki, lecz, ostrzeliwany gwałtownie szrapnelami, zmuszony był zatrzymać robotę.

Kap. Sikorski otrzymuje na noc dyspozycję: podsunąć się z plutonem lub kompanją w kierunku wschodnim do Wieprza, szukać przejścia i sforsować brzeg drugi.

Zapadł wieczór. Zjawia się z Komendy Legjonów por. Kleeberg, przynosi wieść o sforsowaniu przeprawy i rozkaz dla pułku: wymarsz o 4. rano, gdy most naprzeciw palących się Łysobyków będzie gotowy. Zapowiada dalsze dyspozycje pościgu.

Już z wykwitujących łun widać było zapocząty odwrót nieprzyjaciela z nad Wieprza. W miarę zapadu godzin wzmagały się łuny. — Na ciemnym obrysie widnokregu rozpały się ogniska, żarem płomieni wychodząc wysoko na przymierzch nieba. Naliczyliśmy 15 pożarów na małym odcinku wschodu.

W grozie i zacisku rąk patrzyliśmy na to krzyczące o pomstę preludjum szatańskie odwrotu. Jakiż cel? Jaki motyw? — Dzika złość niemocy.

— — — — —

O naznaczonej godzinie wczesnej pułk z pod Węgielec wyruszył. O godz. 4. minut 45 staje przy moście, nocą odbudowanym, nad Wieprzem.

Nie oczekując na treny, które zatrzymać się muszą, aż przejdą nadpływające oddziały piechoty, porywa pułkownik Roja trzy swoje bataljony i szybkim marszem przez spalone Łysobyki, Krępę, dochodzi do Talczyzna, skąd nieprzyjaciel, zmuszony opuścić wspaniałe, przygotowane naprzód pozycje obronne, cofa się na północny wschód. Tu pułkownik rozdziela bataljony: III-ci kieruje na lewo, na Rudę, II-gi przeznacza w rezerwę, a z I-szym przechodzi przez groblę talczyńskich stawów i na Stoczek, Poizdów energicznym marszem zdąża za cofającym się nieprzyjacielem.

Na wyżynie lesistej przed Wolą Ossowińską przychodzi do natknięcia się na opór wroga. Naprzód kap. Szerauc z bataljonem swym spotyka się z kozackimi oddziałami w lesie, następnie nadeszły z prawa bataljon I-szy szybkim rzutem oczyszcza płaszczyznę wyżyny i, wypierając z dwóch pozycji — jedna za drugą — Moskali, przyczem pułkownik sam idzie w tyraljerskiej linii, zstępuje ku położonej w kotlinie wsi. Po krótkim ogniu, energicznym ruchem, nim nieprzyjaciel miał czas się opatrzyć, zajmuje bataljon Galicy Wolę Ossowińską. Wszystko — ze stratą siedmiu lekko rannych.

Zmierzch zapadł. Chodziło teraz o to, by ewentualny kontratak wytrzymać, nim siły większe nie nadciągną, a także poszukać łączności z prawem i lewem. W tej myśli poczyniono ubezpieczenia odpowiednie, rachując też słusznie na to, że nieprzyjaciel po energii ataków mniemać może o większych siłach, niż są, i kontrataku nie będzie próbował.

Treny nadciągnęły. Kuchnie mogły pod osłoną ciemności nocy dowieźć kompanjom pożywienie, którego dzień cały chłopcy nie widzieli.

Komenda pułku stanęła postojem nocnym na skrzydle lewem, w lesie w Filipinie.

Noc przeszła w pilnej czujności, spokojnie.

Rano około godz. 9-tej udałem się z rozkazem do komendy bataljonu I-go w Woli Ossowińskiej. Zastałem kap. Galicę w iście królewskiej kwaterze, w pałacu. Właśnie powrócił z pozycyj poza wsią, które oddawał nadeszłej węgierskiej komendzie. Miał nadzieję, że odpocznie z dzień w tym pięknym dworze — rozkaz powoływał dalej.

Dwór w Woli Ossowińskiej przedstawiał się istotnie jako pańska rezydencja. Oprócz pałacu bogatego przed rozkosznym parkiem stało jeszcze wśród zakoli klombów i trawników parę nowoczesnych oficyn — dalej osobno wzniesiona kaplica.

Właściciele nie było. Kilkoro osób ze służby ostaje schowało się na czas bitwy w piwnicę ogrodnika; teraz, ośmieleni, powychodzili.

W salach pałacu pustka. Co „państwo“ nie zdołali wywieźć, to Moskale rozgrabili. Wszędzie znać ślady

barbarji. W jednej z sal lustra strzaskane — na ścianach czarne rozpryski atramentu od rzuconych siłą kałamarzy. — Gościł tu w dniu poprzednim rosyjski sztab dywizyjny. Charakterystyczne: właścicielka wyszła powtórnie zamąż za oficera rosyjskiego; ci jednak nie uszanowali dobytku kolegi.

Kolejka Obłajda w Turanlu

Wychodząc z pałacu, zauważyłem przed gankiem wśród śmietnika papierów jakąś książkę. Podjąłem — pisana, widzę... Data ślubu... Pamiętnik pani domu.

Gdym wracał drogą wśród pól do Komendy pułku, zobaczyłem: Moskale z pod oddalonego na górze lasu ostrzeliwują granatami węgierski tren, zjeżdżający do wsi. Pociski padały za umykającymi pospiesznie wozami, wyrzucając w powietrze tumany kurzu. Poczem zaczęły w odstępach padać na prawe ściernisko, zmierzając ku grupie drzew, na drogę, którą szedłem. Zauważyłem teraz oddział trenu, który się tam przyczaił. Zapra gnąłem znaleźć się jak najrychlej poza obwodem pocisków. Skonstatowałem przytem, że gdy szrapneli niedoceniam, to granaty wyraźnie mię trwożą. Może temu, że tak gruntownie walą, wyrzucając wysokie słupy ziemi.

Z południa, tegoż dnia jeszcze, wyruszył pułk w kierunku Ciężkowoli. Marsz z Woli Ossowińskiej przez podnoszące się zakręty drogi wśród pastwisk, ściernisk i lasów. — Gdy, jadąc poprzód, stanęliśmy (pułkownik, adjutant jego kap. Zarzycki i kap. Bobrowski) na płaskowyzu, oczy nasze przywitał, niby okrzyk barwny, wyjaw kilku w niedalekich odstępach pożarów. Palily się wsi pobliskie: pierwsza — wydawało się — tuż kilka wiorst przed nami. Snopy rdzawe płomieni rozpętały się

w ciszy — kłęby dymu tajaly w niebo pogodne. Na miedzy, łączącej pola, na płaszczyźnie, widać było sznur kawalerji — pluton, jadący w stronę pożaru. Dalej — osiedli kilka pobok brzozowego lasku. Ciężkowola.

Tam zmierzamy naprzelaj. Podjeżdżając, widzimy grupę wojskowych przed jednym z osiedli. Rozeznajemy szefa sztabu i oficerów Komendy Legionów. Po oznajmieniu o nadejściu pułku, pułkownik każe poprowadzić konie ku pobliskiemu na ścierni domostwu, a sam z nami udaje się do pociągającego świeżością brzozowego lasku. Tu też obrane miejsce na kwaterę Komendy pułkowej. Przy kraju lasku, pod drzewem, w okoleniu brzózek i modrzewi.

Wkrótce zjawia się z onego pobliskiego domostwa gospodarz, ze stołem, ławą i stołkami. A za nim córka przynosi garnek mleka kwaśnego, chleb razowy i masło świeżutkie. Sielanka.

Nadciągają bataljony nasze, rozkładają się na miejscach wyznaczonych. Jakby to czuł nieprzyjaciół, poczyną ostrzeliwać granatami teren. Pociski jednak, nie donosząc, padają na pole poza laskiem.

Zachodzi zmierzch. Namioty wyrosły w lasku — obóz się czyni. Mamy nadzieję zatrzymać się tu postojem dłużej.

Pożary bliższe pogasły. Natomiast rozświeciły mrok dalsze, bijące w niebo luną. Znak, że jutro pójdziemy.

Jakoż na godzinę 7. rano zarządzono marsz dalszy. Idziemy wciąż w tymże północno-wschodnim kierunku, przez spalony Sobolów, przez skupioną koło drogi wieś Domaszewice, która jakimś cudem uszła pożaru.

W Sętkach postój. A potem nagle zesunięcie pułku na południe, do Gąsior, dla podtrzymania akcji 31. i 32. regimentów austr. obrony krajowej. Tamże bataljony nasze zajmują pozycje w lesie jako rezerwa: Komenda pułku w pobliżu. — Z zapadem nocy, bardzo ciemnej, nastąpiło natarczywsze niż za dnia działanie, wzmógł się łoskot karabinów — rakiety: oczy świecące, zielone, wynosiły się raz po raz nad czerń otchłanną lasu.

Owinięci w płaszcze, leżymy na rośnej łące. Kule przelatują, niepokojąc. Każde pułkownik pionierom kilku, którzy znajdują się w pobliżu, uczynić z darni pogródkę osłoną. Tedy możemy spać.

Rano — rozkaz pochodu dalszego. Linja bowiem oporu złamana: wróg się znów cofa. Idziemy w stronę wschodu: zaczem w kierunku Brześcia Litewskiego. Tam garną ludność zabraną. Tam rozbijają się fale pościgu o pierś żelazną twierdzy — jak pocieszają się moskiewscy jeńcy.

Przechodząc przez dział za lasem, nadchodzimy przy opuszczonych okopach kapelana i kilku infanterzystów z 32. regimentu. Pogrzeb żołnierza. Rzecz zwyczajna.

Schodzimy do wsi Zakrzewia. Przed obejściami spotykamy chłopskie wozy, naładowane dobytkiem wszelakim. Zdołały ująć zagarnięcia i wrócić. Ludzie też, którzy do pobliskiego lasu się schronili, teraz, gdy burza przeszła, wracają. Widzimy: dwoje starszków, stuletnich może, pieczołowicie się prowadzi...

— Nam, panowie kochani, — seplenią ze łzami — na noc... w las...

Wyrostek jakiś wynosi nam wodę. Oczy się mu radują.

— Z naszej wsi — mówi z dumą — poszło do was pięćdziesięciu, i brat mój z nimi. Mnie nie chcieli wziąć, bom za młody. Poszli niedawno, tydzień temu. Mieli się przekraść na Łuków.

Po kilku godzinach marszu, gdy dochodzimy lasu koło Kostanina, uderza oczy nasze mogiła w polu z krzyżem, darnią zrudziałą omszona: — widać, dawna. Ktoś, znający tę okolice, objaśnia, że to mogiła chłopów-męczenników, że tu już za Kąkolownicą poczynają się zwarte wsi unickie, Podlasie.

W lesie postój godzinny. — Dojeżdża nas tu rozwelelający „tówarzysz broni“ Kosiński, jeszcze z pod Czołny wysłany do Krakowa z pułku po zakupna. Goni nas z przeszkodami od Jastkowa.

Na odwieczarz wkraczamy do Kąkolownicy. Wieś duża, po obu stronach drogi wzdłuż ulicy rzędami zabudowań rozłożona, o domkach schludnych, bielonych, ogródkach przed oknami, czyni wrażenie zaścianka szlacheckiego. I ludność spotykana przedstawia się wdzięcznie. Wychodzą kobiety gościnnie przed progi, nierzadko z wodą, owocami, mlekiem. Wynoszą garnuszki białe na tacach, częstują.

Przychodzi rozkaz zatrzymania się we wsi — tajemne życzenie wszystkich.

Sztab pułku staje na plebanji kwaterą. Przyjmuje nas ksiądz podletni.

— Nie sądziłem, — mówi wzruszony — że będę u siebie polskich oficerów gościł.

W nocy tu jeszcze gościł sztab rosyjski.

Schodzimy do sadu plebańskiego z ganku. Jakiż po przykrościach drogi kojący widok oczom! Wzdłuż ścieżek wysypanych: rządki lewkonij, astrów, groszku różno-kwietnego, rezedy... Dalej podściel zapraszająca trawników i zacień szeregu rzędów, w różne pochylonych strony, owocowych drzew.

— Owoców niema — objaśnia ksiądz. — Moskale otrzęśli.

Wyrażamy zdziwienie, że szkód we wsi nie poczynili. Wieś wygląda — jedyna zresztą spotkana — jak normalnego czasu.

— Tak, szkód nie znać — rzecze ksiądz. — Postawa ludu ochroniła. Przy odwrocie zaś nie mieli czasu. Zabrali tylko bydło gospodarzom za kwitami na jakieś 20 tysięcy rubli. Po pieniądze kazali jechać za sobą do Międzyrzecza. Ale nikt się nie kwapił. Każdy rozumiał, że z Międzyrzecza, gdy się linja posunie, trudno będzie już wrócić. Woleli stracić pieniądze, a w domu pozostać.

Na wieczerzy, którą podano w sadzie przy świetle świec na ustawionych stołach, gościli też z gronem oficerów ekscel. Durski i szef sztabu kap. Zagórski.

Nazajutrz (t. j. 14. sierpnia) o godz. 11-tej wymarsz.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Wszedł pułk nasz teraz na ziemię podlaską... Poznałby ci ją każdy — tę męczennicę niewspółczesną — bez pośrednictwa map i przewodników: po krzyżach kołodrożnych.

Ileż tych krzyżów... Wznoszą się koło dróg, po polach, chylą się, idą w różne strony. A już cmentarz, gdy się nachodzi — cały zalesiony niemi. Wszystkie zaś jednakowo wysokie, jak drzewo, które dźwigało Chrystusa. Napisy na nich z różnych lat, najczęściej białoruskie.

Najbliższy postój wypadł nam w Sycynie. Kwatery naszyły się przestronne, jednak pobytem Moskali skażone. Wszędzie, w stodółach, w obejściach raziły oczy ślady niedawnego postoju kozaków.

Ponad wsią wznosił się pagórek z krzyżem pochyłym. Tam też pułkownik kazał postawić namioty.

Bataljony nadeszłe jeszcze się nie zdążyły rozkwatrować, gdy przyszedł rozkaz: iść dalej. Jako cel na dziś, oznaczono Worsy.

Pod wieczór dobiliśmy do onych Worsów. Tu, jak i w poprzednich wsiach, chaty poroztwierane, zgrabione. A nie palono tych wsi jeno, jakieśmy stwierdzili, w których znajdował się procent pewien prawosławnych chłopów.

Koło wsi, na zagonach rozłożył się pułk bataljonami. Poczęto wznosić namioty. Namiot Komendy pułku, zapoczęty na łączce poniżej, został, z przyczyny wstających zdradliwych oparów, również na zagonach w sąsiedztwie bataljonu II. ustawiony.

Tam to oglądaliśmy dziwny zachód. Przez mgłę fioletową oparów, unoszących się nad łąkami i przestrzenią pól, w której tajały kępy drzew, widać było słońce, za wszystką krew z ziemi zsiniałej w swoje serce wziętą, jako ofiarę na kręgu świata tonącą.

Późnym zaś zmrokiem — pożary... Wybuchły w kilku naraz miejscach w stronie północnej, szerząc się i łącząc w jeden stóg ognia. Odblask ordzawił kir nocy.

Rozпалиły się w obozie ogniska. Czarne cienie postaci koło nich. Gwar — śpiewy. Z trenów pobliskich dochodzą hałasy, klótnie. Ktoś gra skoczne melodje na harmonijce... Wszystko to — na tle w głębi płonących pożarów i dochodzącego stamtąd tłumnego łoskotu karabinów — zlewa się w obraz przeraźny o sensie swoistym, jakby w szaleństwie wydumany. Wojna.

Tam doszła nas depesza, przy ognisku odczytana: o zgonie Jerzego Żuławskiego. Zmarł na tyfus w szpitalu. Przypominamy, jak jechał z Ostrowca w gorączce i nie chciał mimo rad lekarza wracać. Dopiero w Księżomieszu dał się przyklonić do powrotu. Żeby choć na wojnie... Choć to pono zmarłemu obojętne.

Rano odbyła się msza polowa. Poczem o godz. 9. wymarsz z Worsów.

Przekraczamy linję kolei: Brześć Litewski-Warszawa-Dęblin. Zatem nie pójdziemy pod Brześć. Już poprzód zauważyliśmy odchylenie kierunku marszu ku północy. Idziemy na Litwę!

Nad wieczorem przybywamy do Żegocina, wsi dużej i już przez oddziały wojsk obsadzonej.

Pułk nasz zajmuje kilka chałup i stodół. Komenda pułku umieszcza się w stodole prawosławnego bogacza, który ze swoimi uciekł. Nakłaniał też sąsiadów-unitów do ucieczki, ale ci się nie dali uwieść namowom ani groźbom — pozostali.

Nazajutrz o 6. z rana wymarsz z Żegocina.

Spoczynek godzinny koło południa we wsi Dołhej. Sztab pułkowy staje koło cerkwi. Chcemy zobaczyć wewnątrz: dowiadujemy się, że pop uciekł i cerkiew zamknięta. Widzimy: w murze nazewnątrz, w ścianie ołtarzowej, tablica wprawiona w mur głęboko, z krzyżem, napis polski, data 1838.

Schodzą się ku nam pod cerkiew ludzie starzy.

— Toście wy polskie wojsko? — pytają się. Łzy mają w oczach. Wspominają męczeństwa swoje, skarżą się, że jest ich we wsi większość unitów, a pop prawosławny.

— Ale mamy nadzieję w Bogu i w was, skoroście tu przyszli: Pop już nie wróci.

O godz. 5. po południu dochodzimy do Sitnika. Tu naznaczony postój noclegowy. Komenda pułku kwateruje na łączce przyleśnej, pobok osiedla samotnego. Tu jesteśmy świadkami, jak gospodyni z tego domu znosi

z lasu różne przedmioty: dziezę z ciastem, słoninę, poduszki, kozuch, zegar ścienny i inne, które przed kozakami w lesie pokryła.

Z Sitnika, wyruszywszy o 8. rano, odrazu zadajemy się w las, który ciągnie się na wiorsty przed nami. Są to tak zwane Dobra Konstantynowskie, własność Potockich czy Platerów. Przypominają też kulturą lasy krzeszowickie.

Gdy wyjeżdżamy z lasu, wita nas światłem płaszczyzna otwarta: stumorgowy łąn pański. Z prawa dochodzi ściany rozległego parku. Na mapie: Dwór Worgule. — Na lewo zaś, w oddali — jakby jakoweś miasto wschodnie z bajki: Kopyły liczne przeświecają z poza osłony drzew: — Leśna.

Jedziemy naprzelaj w stronę parku. Bataljony nadają wolniej — jeszcze są w lesie.

Brama wjazdu otwarta... Pułkownik skierował konia w aleję parkową — my, czterech czy pięciu nas, za nim.

Wkrótce wyłonił się z poza drzew pałacyk gustownie zmurowany, biały. Pańska siedziba.

Przed filarami ganku wstrzymaliśmy konie: oczy nasze pociągnęła przestrzeń rozwidniała w parku.

Ścieląca się od żwiru zajezdnego placu zielonorunna murawa, której środek zajął olbrzymi klomb kwiatów, przestrzeniła się w łąkę, słońcu otwartą, rozległą, tu ówdzie kępami drzew rzadkich upięknioną, a otoczoną daleko wokół cienistą ścianą parku. Gdzieś na końcu lustrzała woda stawu. — Iście polana wytchnienia dla oczu — po utrwalonych obrazach zgliszcz.

Wszystkim to samo szeptało wzruszenie:

— Jakże tu pięknie! Jak cicho i ukojnie! Zaiste, spokojne szczęście bytować tu musi.

Zdawało się to samo potwierdzać i niebo: przeczysty błękit nad koroną parku — z białym łabędziem obłoku, wolno jak zamyślenie beztroskie płynącym.

Pojrzymy ku progom domu, ku tej szczęśliwej siedzi-
bie — i oczy nasze, zranione, zadrżały.

Drzwi rozwarłe naościęz — szyby okien stłuczone — wazony z ganku i okien postręcane na ziem. Na murawie zdeptanej, pod murem, walają się w bezładnej kupie: skorupy drogich waz, szczątki gipsów, kawałki ram złoconych, drzazgi bezcennych mebli, książki stargane, listy, tuż obok leżą: koszulka druciana, lalka znieważona i pantofelek.

Przez drzwi roztwarte, przez wybite okna patrzy ku nam grobowym spokojem łatwo zgadniona pustka wnętrza.

Pod filarami na ganku w zacięniu leży białowłosisty pies, z pyskiem opartym na łapie krwawiącej. Nawet nie pojrzy ku nam.

Gdy tak stoimy, wysuwa się z za rogu pałacu stary, zszarzały człek. Skłonił się przed pułkownikiem.

— Wy kto jesteście? — pyta go pułkownik.

— Ja tutejszy, sługa.

— Państwo gdzie?

— Wyjechali.

— A kto to tak sprawił? — wskazuje pułkownik na rozmiecie szczątków.

— Moskale, panie. Któżby.

— Kiedy?

— Pozawczoraj. Był sztab cały. Gościli, pili w pałacu. Zabrali sto par koni — dwa tysiące owiec. Kiedy mieli ujeżdżać, tak do pana: żeby jechał z nimi. Pan nasz, chory oddawna, sparaliżowany — wypraszał się, i pani prosiła... „Koni—powiada—niema“... — „Tak my pożyczymy“. Nic nie pomogło — wywieźli. Kozaki zostały: Dopieroż hulać! Stodoły, śpichlerz spaliły — nawet zboże w snopach na polu... Grzech myśleć. Wszystko zniszczyły, rozgrabiły, te mury ino zostały. Ja powróz wziął i powiadam: „Powieście już i mnie na końcu, niech na to nie patrzę“...

Zapłakało się staremu. Pułkownik rzecze:

— Zbierzcie te szczątki do wnętrza, zamknijcie drzwi. A my naprzód!

Wjechaliśmy znów w aleję ciemną — przez mostek jakiś rzucony — koło kaplicy.

Dwór szedł za nami, jak trumna otwarta.

Park przechodził w las, droga się traciła.

Właśnie nadchodziły kolumny bataljonów, gdyśmy wyjechali na jaśnię pól.

Pułkownik dał rozkaz wypoczynku: minut dwadzieścia.

Przed oczyma, na lewo, o jaką wiorstę, wyjawily się z otoczy drzew białe i czerwone mury z piętrzącemi się wielokopułami różnej wielkości. Przybliżony, widziany już poprzód zdala, monastyr w Leśnej.

Pułkownik zwraca się do nas:

— Kto chce zobaczyć monastyr, może podjechać; tylko nie bawić, bo wkrótce ruszamy.

Kopnęliśmy się z miejsca, wypuściwszy konie. Za parę minut byliśmy u celu.

Miasto mnisze. Wśród gmachów nowych i starych dziwne sprawia wrażenie cerkiewka stara, kolorowa, nad wyrwą ruczaju. Jak wystawowa zabawka bizantyjska o krasie wschodu. W głównej cerkwi — dawnym bazylikańskim kościele — wrota carskie otwarte. Ikony dziwią się, widząc nas wchodzących. W zakrystji — stos zebranych na kupę obrazów. I cisza.

Koło murów, jak i na rynku wpobliżu, kupią się gromadki chłopskie. Przypatrują się ciekawie mundurom. Chcieliby porozmawiać, o coś zapytać, co tai się we wzroku.

Wracamy.

Bataljony już ruszyły.

Przejeżdżając drogą przez pagórek, widzimy: żołnierz nasz półrozebrany siedzi pod figurą na pagórku i przeziiera pod słońce koszulę. Obrazek wdzięczny, w którym dużo treści.

Z południa, gdy mijaliśmy las jakiś pomniejszy, a deszczem grozić zaczęło, pchnął nas pułkownik naprzód: kapitana Bobrowskiego i mnie, z jeźdźcem ordynansem — do Konstantynowa, celem wyszukania kwater.

Konstantynów, miasteczko, zastaliśmy spalony. Jedynie kościół wśród lip wysokich, dwór na uboczu stojący, plebanja, kilka domów w uliczce koło kościoła i trochę bud żydowskich po kraju ocalały. Środek miasteczka wokół rynku — jedna ohydna ruina. Na zgłiszczach siedzą rodziny żydowskie pod przygniotem klęski i rozpacz. — O kwaterach w mieście niema mowy.

Wracamy więc przez most, zapchany wojskiem, na przedmieście i — gdy tu chałupy zajęte już postojem kawalerji — wybieramy nad stawami trawniki pagórkowate, gdzie mogą się trzy bataljony wygodnie rozłożyć.

Niebawem nadciągnął pułk. Namioty jeszcze przed zmierzchem wyrosły.

Nazajutrz rano 18. sierpnia odbyła się na placu pobok msza polowa. Prócz pułku czwartego wzięły w niej udział sąsiadujące z nami oddziały artylerji i kawalerji austriackiej ze swemi komendami, również Komenda Legjonów z exc. Durskim.

Dzień zeszedł na wypoczynku. Przypuszczaliśmy nawet, że tu stać dłużej nam wypadnie, gdyż linja Bugu niedaleko. Tam zapewne nieprzyjaciel umocnił się i zechce dłuższy opór stawić. Niespodzianką przeto padł na nas późną nocą rozkaz: Wymarsz o 6. rano. Za Bug!

Szybkim marszem zbliżał się pułk ku Bugowi. Nadarzony po drodze przewodnik, stary chłop, siwy, unita, dreptał pobok konia pułkownika i, poruszony tą chwilą niespodziewaną, spowiadał się w odstępach:

— Siedziałem w tiurmie. Byłem bity, katowany. Ciało miałem ścięte, że od kości odchodziło... za wiarę. Wytrzymałem wszystko. I oto dożyłem chwili, że dzieci moje, wnuki...

O godz. 3. min. 15 po południu tegoż dnia, 19. sierpnia, stajemy nad nurtami Bugu pod Niemirowem.

Dzień pochmurny, deszczyk mży — lecz radość w sercach. Wstępujemy z Korony na Litwę! Wydaje się to snem.

Szeregi wchodzą na pontony mostu. Wkraczają na brzeg wysoki, na ziemię grodzieńską.

A potem rozsypem dróg przez jakieś mijane wsi, koło dziwnych cerkwi, pełnych krzyżów cmentarzy...

Odsadził się pułk marszem daleko od brzegów rzeki.

Pod noc wszedł w bory pod Zalesie.

Tam biwak uczyniony — namioty porozpinane — deszcz pada. Ogniska trzaskają wysokie — w kadziel-
nym fiolecie las.

Wkrótce po wieczerzy ustaje gwar. Przygasają ogniska. Znużenie obala żołnierzy na mokre mchy.

Uciszył się już obóz, gdy Komenda pułku odbiera telefoniczną depezę o upadku Modlina, z cyframi jeńców i łupów.

Każę pułkownik podać telefonem radosną ową nowinę komendom bataljonów.

Zaniedługo wyrywa się z pośród najbliższej partji namiotów zbiorowy okrzyk: „hurra!“ Za nim drugi, trzeci: „hurra! hurra!“ Buchnęły w górę ogniska...

Okiestra uderzyła w hymn: „Jeszcze Polska“... Później: „Marsz Czwartaków“. A w skupiskach koło ognisk potworzyły się już chóry. Znużenie przeszło.

Rozśpiewał się, rozegrał bór litewski pieśnią legjonową.

INTER ARMA
WSPOMNIENIA WOJENNE

I. O ŚPIĄCEM WOJSKU W TATRACH

O śpiącym wojsku w Tatrach płące się zdawna między naskim ludem kilka podobnych opowieści. Jedną z takich, krążącą w okolicy tamtej, zapisał w roku 1843 ksiądz Świętopełk Głowacki w Poroninie.

Mowa w niej o jednym gaździe, któremu wypadło jechać do szalasu na Konin po ser. Kiedy dojechał — powiada — na miejsce, zdjął uździenicę z konia i puścił go na paszę, a sam wszedł do koleby. Niedługo tam pobawiał — wyziera, a tu konia nie widać. Poszedł za nim, za śladami, i naszedł go na dolince, skubiącego trawę. Łapie go tedy, i kie go ma prowadzić — pojrzy na bok — a tu się mu przedstawia w pobliżności jama jakowaś. „Coby tam w niej mogło być?“ — zaciekawił się. Uwiązał konia przy smreku, poszedł zbadać tę jamę. Z kraja wcale łatwe wejście, przestronne. Włazi dalej — a tam jakieś drzwi. Zląkł się, że na zbójnicki schów natrafił. Ale myśli: „Kiech już tu, to zajrzę, co tam być może“. Uchyła drzwi i wtedy zmiertwiał dopiero. Zabaczył bowiem husarza na koniu. Już się cofnąć nie było rady. Husarz doń gromko:

— Czy już czas?!...

Nie mógł nasz gazda wyrozumieć, o co chodzi, i odrzekł prędko: — „Nie!“

Wejrzawszy dalej, zobaczył moc wojska śpiącego — wszystko na koniach i zbrojne.

— Abyś pamiętał — zadudniał znów głosem husarz — nabier se tego do worka!

I ukazał mu (wybaczcie) gnój koński. Gazda pomyślał: „E dyć ja haw na oborze dość tego mam“. Ale nie śmiał się przeciwzić. Nabrał posłusznie do worka, kielo ino zdołał, przywiódł konia ku jamie i nałożył nań.

Skoro odjechał dalej, chce to zrzucić, ale nie może. Natężył siły wszystkie — aż wór spadnie na ziem, za-brzęknie. „Je což to, co sie tak głosi?“ Rozwiązuje — a tu pełniutko złota. Uradował się mocno — ba, wiera — ale což, kie nie zdołał wora udźwignąć. Próbuje raz i drugi — na nic. „Nima rady, trza z wozem przyjechać“. Kopnął się po wóz — przyjedza — a tu ani śladu. Dolinkę naszedł i wszystko, co ku jamie wiodło, ale tak złoto jak i jama kędyś się podziały.

Jest opowieść druga, gdzie indziej zapisana, która nam powiada, że to nie gazda był, co wojsko śpiące widział, jeno kowal z Kościelisk, niejaki Fakla. — Przyszedł raz doń nieznajomy rycerz i wezwał go, coby se wziął sprzęt do kucia koni i szedł za nim. Że mu sie to powiada — oplaci. Nie było sie co wymawiać. Zabrał naczynie do worka i poszedł za nieznajomym, który skierował się w Tatry. Szli różnemi ścieżkami — wspinali się w górę, to znowu schodzili na dół — aże nareszcie stanęli przed ścianą, w której był otwór, jak do groty. Tu rycerz przykazał Fakli:

— Cobyś sie słowem nie odezwał!

I wszedł pierwszy, a Fakla za nim. Szli naprzód

jakby kurytarzem, a potem weszli niby w obszerną piwnicę, w zamkowe jakieś sklepienia.

Skoro Fakla oswoił się z mrokiem, ujrzał w zdziwieniu rząd rycerzy w zbrojach, siedzących na kamiennych ławach, głowami opartych o skalną ścianę, uśpionych; a przy drugiej stronie znowu rząd koni. Rycerz, który go tu wewiódł, nie dał mu się długo cudować, ba skinął nań, coby robił swoje. Wziął się więc Fakla wartko do roboty, bo i strach go zaczął obejmować. Pospoprawiał koniom podkowy, które się porozluźniały, i miał się ku odejściu. Wtedy rycerz, stojący nad nim, wskazał mu, coby se nabrał ostrużyn z kopyt do worka, jako zapłatę za kucie. Nie widziało się to Fakli, ale nie rzecz mu było odmawiać. Naśmiałał tego do worka, wziął na sie i skłoniwszy się, wyszedł tędy, którędy byli weszli.

Skoro się znalazł na powietrzu, odetchnął ciężko i myśli: „Co będę lada co dźwigał...“ Wysuł to z worka na ziem i poszedł ku chałupie. Skoro ku kuźni doszedł i wyjmować jął naczynia z worka, wypadło przytem parę na dnie ostałych ostrużyn... patrzy — a to szczere złoto. Wyrtnął się tedy co duchu tą samą drogą — szukał długo i hladał — ale już ostrużyn wysypanych, ani ściany z otworem nie mógł znaleźć.

Inna jeszcze opowieść mówi o juhasie, który, szukając owcy zagubionej i błądząc wśród skał, wpadł zniecka do jamy głębokiej... Skoro się ledwie zebrał z bólu i rozpatrzył oczy, zdumiał na widok, jaki się mu odsłonił. Zobaczył oto huf rycerzy na koniach, bez poruszenia stojący, jakby zakamieniały. Wnętrze olbrzymiej groty, którą miał przed sobą, rozświetcane było słabo wpada-

Są to opowieści, niby bajki. Ale w każdej bajce jest pół prawdy. Z tym gazdą czy kowalem, jak i z tym juhasem niekoniecznie tak musiało być. Może nawet i nie było. Ale że wojsko śpiące jest — to my dobrze o tem wiemy. Niech ino każdy wsłucha się w serce swoje... co ono mu zatętni, kiedy hasło przyleci: „Już czas!“

A hasło to może niedalekie...

1913.

2. Z DNI MOBILIZACJI (Z WOROCHTY DO NOWEGO SĄCZA)

I

--- --- --- --- --- --- --- ---
--- --- --- --- --- --- --- ---

...Gromadka starych huculek, zawodowych płaczek, ustawivszy się z boku, zawodzi swoje głośne, rytmiczne, z łamaniem rąk i chwianiem głów, monotonne lamentsy.

Któryś z powołanych w sąsiednim wagonie, przytupując rytmicznie, gra na piszczałce kołomyjkę. Słychać z wagonów dalszych pohukiwania ochotne. Powołani, widząc się w gromadzie, w sile, nabierają animuszu. Gdy pociąg ma ruszać, jak grom zapalne „hurra!“ odbija się po kilkakroć o mury stacyjne.

Maszyna nabiera tchu i rusza, ciężko sapiąc. Ktoś biegnie wzdłuż pociągu. Jeszcze ostatnie rozgłośne „hurra!“ pokrywa jęk pozostałych.

Mijamy przystanki Diłok, Jamnę, które wciskają gromady powołanych do zapełnionego już nimi pociągu. Ten sam płacz ich odprowadza, to samo „hurra!“ ochotne spada w pożegnaniu. W Jaremczu, podobnie jak w Mikuliczynie, tłum zaległ stację, wdziera się do wagonów, które już niezdolne są rozszerzyć się ni poddać. Dzier-

żący straż żołnierze naprózno usiłują utrzymać jakiś porządek. Krzyżują się okrzyki, pohukiwania, śpiewy, na tyle zawodzenia kobiet.

Wśród tego zamętu biedni letnicy — zapóźnieni. Na stosie kufrów, tobołków, na uboczu siedzi jakaś pani i płacze. Świat się odmienił: chłopci naprzód a państwo na ostatku... Tak ono przyjdzie czasem...

Służba pociągu biega w zdenerwowaniu, nie mogąc opanować żywiołu. Trwa to dość długo. Nareszcie pożegnalne „hurra!“ — wiewanie kapeluszy, chustek, płacz zawodzący niewiast. Pociąg rusza...

Piszczalka w sąsiednim przedziale wyświstuje monotennie kołomyjkę. Słychać wycinanie hołubców. Huculi tańczą. Jadą na wojnę jakby na wesele.

Mijamy Dorę, miejscowość normalnie cichą. Luda pełno, jak na poprzednich stacjach. Gdzież się ten naród pomieści? Adwokat z Bóbrki, jadący zamknąć kancelarię, żegna się z ojcem. A oto młodzi, w brązowych mundurach Strzelcy ukraińscy. Płonie w ich sercach wolna Ukraina, jak w sercach naszych Strzelców oswobodzone Królestwo.

W Delatynie jeszcze większy tłok niż w Jaremczu. Formalne walki o miejsca w wagonach. Wielu musi pozostać do następnego pociągu. Litość wesołą wzbudzają letnicy osieroceni. Od Delatyna, który rozłożył swe wille w kotlinie u stoków gór, pociąg niezwykle długi dyszy, ku wzniesieniu, by wyjść na równą roztocz nadwórniańską. Mija stacje tłumne, jeszcze huculskie barwnością, i opuszcza je z rozgłośnem „hurra!“ Płacz kobiet już się stał zwykłą, nie czyniącą wrażenia pioseką, jako nie-

zbędna nuta wojennego kamertonu, bynajmniej nie osłabiająca ochoty wezwanych.

Późnym wieczorem wreszcie dojeżdżamy do Stanisławowa. Pociąg nasz na Stryj uszedł, musimy czekać na następny. Przez okno sali restauracyjnej widać plac oświetlony jak w teatrze, z kępami zarysów drzew we fiolecie. Idą przez ten plac rezerwiści grupami, grupami, postaci z gór, z pod Chomiaka, dziwne na tem tle; idą, wsiąkają w mrok, w ulice nieznanego miasta. Co jakiś czas nadjeżdża pociąg ze świstem i wylewa nową falę. Ta fala wsiąka w ulice, za nią druga — idą tak, płyną nieskończenie...

Na proscenjum przed dworcem jakaś grupa młodych ochotników intonuje z zapalem: „Szczę ne zmerła Ukraina...“ A fale płyną, płyną...

Czyż to sen, czy rzeczywistość? — дума umysł zmęczony wrażeniami dnia...

2

Pochłonął Stanisławów masę rezerwistów, spływającą trzema promieniami ulicznymi: od Delatyna, Czortkowa, Doliny. Wsiąkli w mrok fioletowy miasta, niby w jakiś rezerwoar mistyczny, gdzie ten lud różnobarwny przemieni się zajutra w jednoszare pułki.

Wychodzimy na peron w oczekiwaniu pociągu, który ma nas zabrać w stronę Stryja. Wałęsa się sporo ludzi, czekających od godzin wielu na pociąg do Lwowa. Interpelowani zewsząd urzędnicy stacyjni, zawaleni pracą, odpowiadają w zdenerwowaniu, że nie są w możności

oznaczyć czasu spóźnienia pociągów. Podróźni, ci nawet z t. zw. lepszych sfer, przywykli do tego, że uwzględniano interesy ich na pierwszym miejscu, nie mogą wyjść z oszołomienia, widząc się zepchniętymi na ostatni plan. Chodzą jak owce opuszczone, potulni, potrwożeni w sercach, i ustępują lękliwie, ilekroć otrą się o brutalną rzeczywistość maszynerji wojennej. Poczynają rozumieć nikłość swoją wśród tych wstających sił.

Peron zavalony do połowy olbrzymiemi stertami bagaży. Z pośród kupy tobołów, sienników, pościeli, sterzące kołyski i leżaki wskazują dość dowodnie, że to bagaże nieszczęsnych letników, przy zmianie pociągów zrzucone i zapewne już przez właścicieli swoich oplakane.

Po północy nadszedł nareszcie nasz pociąg, który wyrzuciwszy z siebie nową falę rezerwistów, ruszył niebawem dalej. Przerzedzone przedziały pozwalają nam zdrzemnąć się nieco, niedługo, gdyż już od połowy drogi, w miarę zbliżania się ku Stryjowi, każda stacja do-rzucała spore garści ludzi. W Stryju na nowo pociąg się zappełnił. Wsiadło sporo inteligentów-rezerwistów i popolitaków (landszturm), do przemyskiej komendy po-wołanych.

Jakiś ambitny właściciel garażu z dumą wyjaśnia dokoła, że jest wezwany do kierownictwa automobilem, jakiś inżynierski pomocnik z Borysławia bawi przedział cały opowiadaniem o stosunkach w tem polskiem Klondyke.

Dojeżdżamy do Drohobycza. Stacja zmroczniała od masy ludzkiej. Cały Borysław robotniczy, jak ciemna

rzeka w stawisko, tu spłynął. Pociąg niezwykle długi posuwa się wolno wśród wału głów. Zarył.

Tłum rzuca się ku wagonom, niby fale zacięte ku skałom. Napróżno służba kolejowa i żołnierze strażujący starają się utrzymać jakiś możliwy porządek. Daremne ich wysilenia. W moment zdobyto pociąg i zamurowano go tak szczelnie, że naniec już wszelki trud dostania się do środka, lub wydostania z wnętrza. A tłum się na stacji nie zmniejszył. Oderwane fale ludzkie ponawiają atak, by odparte od muru, znów gdzie indziej uderzyć. Tak powtarza się to po kilkakroć.

Rycerzyki borysławskie nie dają za wygraną. Snują się wzdłuż pociągu, upatrując wyłomu, gdzieby można najsmadniej uderzyć. Uderzają ławą, to zosobna. Odciągnięci przez straż z jednego miejsca, przechodzą w drugie. Napróżno im tłumaczą konduktorzy, że wkrótce nadejdzie pociąg drugi. Nie dowierzają. Widać — wychylone przy pożegnaniu kieliszki wywołały w ich głowach stanowczość, że muszą tym pociągiem jechać.

Jakiś blondynowaty, tęgi, o zawadjackiej minie „mowowy brat“, stając wprost okna naszego przedziału, mówi zdecydowanie:

— Jak, Boga kocham, przez okno wlażę. — I już czyni ruch przedwstępny, gdy hałas w sąsiednim wagonie odwraca tam zamiar jego.

— Panie konduktorze! — woła stamtąd, wychylając się przez okno, jakaś pulchna pani, z wyglądu: mecnasowa. — Ja tu muszę wysiadać!

Dialog na dystans:

Konduktor: — Proszę, niech pani wysiada.

Pani mecenasowa: — Ale tu ruszyć się nie można. Jakże mam wysiąść?

Konduktor rozkłada ręce. — Pani sama?

— Nie, jest nas czworo.

Konduktor zbliża się ku schodkom. — Proszę się usunąć. Na schodkach stać nie można. Tam ludzie muszą wysiąść.

Mur ludzki ani drgnie. Powtórne rozłożenie rąk.

— Ależ panie konduktorze, my tu musimy wysiąść w Drohobyczu!

— Widzi pani, jak jest...

Pani mecenasowa duma w bezradzie, jak sobie pomóc.

Tedy nasz „morowy brat“ z galanterją podchodzi. — Proszę przez okno, służę...

I rycersko wyciąga ręce. Pani mecenasowa, nie namyślając się wiele, podaje się galantowi z okna. Ten ją stawia z grandezzą na ziemi.

— Cóż tam więcej?

Jedzie dziecko w pieluszkach. Podał je matce jak kukielkę.

— Dalej! co jeszcze?

Mamka zarumieniona. Odebrał ją pieczołowicie i ustawił.

Pauza.

— To już wszystko?

— Nie jeszcze. Mąż pozostał.

Widać w oknie okrągłą głowę z łysiną.

— Jazda!

Pan mecenas przechylił się na ramiona odbieracza, lecz, wywlekany, aby okazać w tym momencie swoją

niezależność jako i sprawność wobec całego publicum, odbił się fikającemi nóżkami o parapet okna, i to było przyczyną, że obaj padli na ziemię. Śmiech i oklaski. Ktoś podejrzliwy wyjaśnia, że była to zemsta mecenasa za przejmowanie żony.

Zbiera się wartko nasz galant i do okna.

Podpierają go, jakiś żołnierz nawet pomaga.

— Mój sok! — woła mecenasowa.

Za chwilę widać z okna już tylko wystające nogi — pomiędzy nie jedzie butla z sokiem. I to zgasło w momencie, jak w kinie. — Mecenas trze dłonią kolano.

Pociąg rusza.

— Stać! Ktoś wylazł na dach.

Ściągają pasażera.

Pociąg rusza. Sygnały wstrzymania. Ktoś sobie usiadł na najniższym stopniu, nogi opuścił wygodnie. Przymuszono go, by zajął bardziej pewne miejsce.

Nareszcie. Wyjeżdżamy z tego zamętu, niemniej ściśnięci jak w kadzi.

Dobrowlany, Dorożów, Dublany. Wszędzie gwar gromad czekających. Sambor! Nie znać ubytku ludzi. Bitkowice, Nadyby, Felsztyn, Chyrów!

Pociąg począł wysypywać ludzi. Wszystko na Przemysł, do komendy. Odetchnęliśmy pozostali.

Od Starzawy poczynają się obrazy inne. Lud wiejski barwny, kobiety lamentujące. Niedziela. Widać też i w polach koło dróg gromadki ludzi, dziewcząt i wyrostków, żegnających wiewaniem rąk uwożonych krewnych i znajomych.

Mijają: Lisko, Zagórz, Nowosielce... Wszędzie tesame

z małemi zmianami obrazu: Gromady chłopów powołanych i kobiety w grupach zawodzące. Jakiś sen ciężki osiada na oczy, a razem myśl przeżywa wstecz widziane obrazy, łączy je i zespala. Widziane rośnie w potęgę, która znów rodzi pewność i wiarę zwycięstwa.

W Iwoniczu kolonja żydowskiej dziatwy pod opieką pań starszych oczekuje na stacji. Kto wie, jak już długo. Pociąg pełny, i tym razem ich nie zabierze.

Krosno, Polanka, Jedlicze...

Dwaj bracia młodzi wsiedli do przedziału, wiertacze przy nafcie. Jeden tragicznie smutny. Jedyńy z masy powołanych, na którego twarzy widziałem smutek, prawie rozpacz. Czy alkohol tak podziałał nań, bo widzę: pijany setnie. Zwierza się sam, bełkocze, że „narzeczona... w Rzeszowie... już miał być ślub... no i teraz — marsz!“ Dziwnie mała tragedia.

Zato w Trzcinity czy w Bieczu wsiadła gromadka wesołych chłopaków. Mieli ze sobą skrzypców dwoje: muzyka, śpiewki, aż jęczy:

Wieźli mi ją wieźli — da dana!

Trzy znaleźli — da da!

W Stróżach, na skrzyżowaniu dróg, gdzie padło nam czekać przez godzinę, stacja huczy śpiewami. Tu gromada młodzieży, ustawiwszy się kołem, śpiewa kolejno wszystkie polskie pieśni; tam znów grupa srodze pijanych Łemków (co rzadkością...) uparcie powtarza swoje.

W Nowym Sączu uciecha nas czeka: Podhalanie! Redaktor, sędzia, profesorzy, chłopci...

— Wies, ka my spali?... W kreminalu! No, nie było

miejsca nika. Trzy tysiące nas zjechało, ale jechaliśmy
se z muzyką, śpiewający, jaz się po stacjach ozlegało.
Dziewcęta nosiły wodę cebrzykami...

Radość.

— Wies, chłopce! — Wojna!

3. W E R B U N E K N A P O D H A L U

Zrozumiałem jest, iż przy charakterze ukraińnym ludu góralskiego często dla potrzeb postronnych i swoich odbywał się werbunek na Podhalu. Przeprowadzany był w różnych czasach różnemi sposoby, zależnie od sprawy, dla jakiej był podejmowan i od stosunku do niej narodu podhalańskiego. — Mówią nam o tem akta grodzkie, sądeckie jak i krakowskie, jako też przechowane w pamięci pokoleń śpiewki, w których się może najwierniej ów stosunek uczuciowy streszcza.

Za czasów dawnych polskich, jak wiadomo, wybierano w królewstwach ludzi poddanych do znanej nam „piechoty łanowej“, z czego powstawały obok sołtystw t. zw. „wybraniectwa“, które z mocy nakazu Zygmunta III z r. 1590 miały zapewnić pewnej części włościan, owym „wybrańcom“ służącym w potrzebach, prawo dziedzictwa. Inna rzecz, że starostowie rabowali im to prawo, a w dalszym postępie czasu unicestwili je zgoła.

Nowotarskie państwo, które, wyjąwszy parę dominiów prywatnych, było królewstwą, więcej stosunkowo, niż inne, dawało piechoty z ładu. Spora liczba „wybraniectw“ w początkach wieku XVII na Podhalu świadczy, że lud ten umiał swój przywilej cenić,

a wzmianki i pochwały świadków, oddawane piechocie łanowej, jak stawała pod Smoleńskiem, Chocimem i w innych potrzebach, dowodzą nam, że nie podlejsze było to rycerstwo chłopskie od świetnych pańskich chorągwi.

Rok 1629 rozpoczyna okres buntów na Podhalu, który trwa z nierówną siłą, to wybuchając płomieniem groźnym, to przygasając, przez kilka lat dziesiątków. Wiadomo: czas to był najcięższych może dla narodu chłopskiego terminów, gdy dość wąskie przywileje, prawa i osłony chłopów, nadane im za dawniejszych królów, straciły całkiem moc pieczęci swoich, a o wszystkim stanowiący wola i swawola panów. Król był daleko, starosta na miejscu. Słani ze skargami do Warszawy chłopscy deputaci otrzymywali w kancelarji królewskiej przyrzeczenie obrony i potwierdzenie praw i przywilejów, a w drodze powrotnej chwytni byli mimo glectów bezpieczeństwa przez pacholców starościńskich, nierzadko batożeni i wrzucani do ciemnic.

W nowotarskiem państwie, w królewszczyźnie, nie było wprawdzie tak okrutnego docisku bezprawia, jak w starostwach prywatnych, niemniej jednak rozmiłowani w swobodzie górale, dużo czulsi, niż chłopci nizinni, na wszelki ugniot zewnętrzny, dotkliwie odczuwali to przycieśnienie jarzma na swych karkach i burzyli się przeciw ręce, która ów ucisk sprawiała (Kostka Napierski). Doświadczwszy wielekroć, że król nic nie może, że słani przezeń komisarze nie mają wobec potęgi starosty żadnej egzekutywy dla zabezpieczenia wagi swym wyrokom, jęli się opierać wkońcu — dotkliwie nauczeni bezprawiem — na swej sile.

Tworzenie zaś tej siły doraźnej, obronnej lub egzekutywnej, tworzenie jej pod bokiemi władz, wymagało zrozumiale osobliwych form werbunku. Posyłany okółką po dziedzinach omówiony „znak“ okrężny, z podawanem na ucho miejscem zboru, oznajmiał poruszenie pospolite dla jakiejś zamierzonej akcji, a zaś w nagłych wypadkach (napaści starościńskich sług lub t. p.) ognie, palone na wierchach, skrzykiwały naród ku obronie.

Zazwyczaj hasło zwołania wychodziło od osobistości, zażywających największej powagi między ludem. I tak — czytamy w aktach grodzkich z r. 1630 — sołtysi w nowotarskiem państwie: Piotr Czerwiński z Klikuszowej, Stanisław zwany Marszałkiem, Klemens Mientus Czarnodunajecki, Józef i Joachim Odrowąscy, Mikołaj Szatanik i Grzegorz Dzielski z Działu nakazali pospolite ruszenie na Podhalu przeciw Komorowskiemu, staroście, na którego już poprzód 53 wsi starostwa nowotarskiego wniosło do kancelarji królewskiej jedno-brzmiące skargi: o odbieranie przywilejów, wymaganie nad prawo robocizn, wybieranie bezprawne opłat i zesy-pów i o inne rozliczne zdzierstwa.

Wiek XVII był, jak wiemy, wiekiem nieustannych wojen. Dawne formacje wojska, złożonego z pocztów pańskich i ochotnego rycerstwa, już w tym wieku nie wystarczały. Czas zawichrzony wymagał stałego wojska, które formowano przez zaciągi. Przeniesiony z Niemiec wytwór długoletnich wojen, zwyczaj właściwego z całym dotyczącym aparatem werbowania, znajdował na ziemiach polskich wobec potrzeb zachodzących coraz szersze zastosowanie. — I na Podhalu zjawiali się coraz

częściej różni mający prawo zaciągów pułkownicy, werbując owym zwyczajem górali. A że chodziło przy werbunku o jednostki awanturnicze, junackie — od tych zaś dudniła aże ziemia na Podhalu — można uwierzyć snadnie, iż werbowali stąd zastępy liczne.

W tym charakterze zjawia się na Podhalu w r. 1651 „pułkownik“ Kostka Napierski, z listami przypowiedniemi na zaciąg górali dla obrony granic województwa przeciw spodziewanemu najściu Rakoczego. Tu, trafiwszy na niezgasłe zgorzeliska buntu, łatwo roznieca je w płomień. Zwerbowani przezeń i szubienicy odjęci dwaj głośni zbójnicy hersztowie skrzykują mu roztracone na górach drużyny, a zaś przywódcy niedawnej chłopskiej rebelji, zgwarzywszy się z nim, poruszają pospolity naród. Pożar buntu przelewa się poza granice Podhala. Kostka, zajmwszy zamek pograniczny, Czorsztyn, wydaje do chłopów województwa płomienne uniwersały; tysiące też gromadzą się na wskazanem miejscu zboru pod Czarnym Dunajcem. Od Czorsztyna, gdzie Kostka przebywa, jeżdżą sztafety gęste do obozu, z miejscowych, bo nie inszych, junaków złożone. — Z tego to zapewne czasu, gdzieś w kołodrożnej wsi powstała, płacze się po dziś dzień śpiewka:

Jedzie wojsko od Czorsztyna —
 Matko moja, poznaj syna —
 — Jakże ja go poznać mam,
 Kie ja biedna, a on pan.

Minął wiek. Czas w konieczności swej nadniósł inne sprawy. Polska, osuwając się ku upadkowi, wydawała

z części niezeepsutej krwi ogniste drgnienia, protesty. Przeciw „pokojowemu“ zalewowi kraju przez moskiewskie żołdactwo wystąpiła konfederacja barska. Z tego wielkiego ogniska honoru, rozpalonego we wschodniej mieścinie, przenosiły się, jakby wichrem ciskane, głównie jarzące na obszary ziem Rzeczypospolitej; owdzie gaśły, owdzie rozniecały płomień. A Pułaski Kazimierz, wódz i ramię konfederacji, był istnie jak Latający Holender: tu i tam widziany.

Wiadomem też jest z nadmienień, że przed wzięciem Lanckorony bawił jakiś czas na Podhalu w Gorcach, gdzie nawet kamień wskazują z wyrytą odnośną datą (przypuszczalnie: nagrobek zmarłego z ran towarzysza, Koldrasa Łąckiego). — Że czasu tego pobytu konfederaci barscy werbowali ludzi na Podhalu i że chętny znajdowali posłuch, świadczy, doniesiona do dziś, zachęcająca przyśpiewka:

Werbuje się, sykuje do konfederatów,
Dadzą ci konisia i trzysta dukatów.

Po rozbiórce Polski, gdy południowe ziemie Rzeczypospolitej przeszły pod rządy Austrii, zmieniły się też i formy werbunku na Podhalu. Już nie ta lub inna sprawa była powodem, lecz racja państwa, nieznaną lub obojętną ludności. — Urzędnicy wojskowi „becyrku“, mając listy poborowe, sporządzone przez władze gmin, posyłali na wieś ramiona swe, tak zwanych „łapaczy“, którzy, wpadając zniemacka, najczęściej nocą, do chałup, łapali wypisanych, o ile ich, nie zdążających uciec, zastawali. Powiada o tem śpiewka:

Byliby mie byli na wojenkę wzieni,
Kiebych był nie uciek z komory do sieni.

Niechętnie dawano się łapać. Złapanego bowiem, jak więźnia, strzyżono, zapinano w białe kamasze i kabat i posyłano w dalekie, obce, „taljańskie kraje“, albo do Niemiec, na ciężkie przeprawy. Służba trwała lat dwa-
naście; gdy który wracał po latach do domu, to kaleką lub steranym już dziadem.

Nawykłym do swobody Podhalanom nie w smak była taka poniewierka. Już i duma żołnierska, wmawiana obcym językiem, nic ich nie przyniewalała. Dziękowali za nią pięknie.

Cysarzu, cysarzu, wielkomożny panie,
Daleś mi sabelkę — na... bych ci na nią.

Przed „łapaczami“ uciekali, jak jeno który mógł, oknem, sienią — kryli się po piwnicach, po lasach — a schwytani, dezserterowali i, bojąc się zostać we wsi, uchodzili w góry. Spadali stamtąd, jak jastrzębie głodne, na bogate dziedziny „uherskie“.

Kiedy sie rusymy z Tater do Budzina,
To sie napijemy uherskiego wina.

Tropiono ich po górach, po kryjówkach skalnych, nieraz całe oddziały huzarów zapuszczały się w Tatry za nimi. Wójtowie na węgierskiej stronie, t. zw. „rychтары“, mieli surowo przykazane pomagać władzy przy chwyтaniu onych, co też i wykonywali, jak w pieśniach słyszymy.

Zeby to Panbóg dał, coby ja sie wrócił —
Rychtarembych orał, huzarami młócił —

Śpiewa zapewne jeden z takich, prowadzony w okowach do miasta.

Ze zmianą form rządu zmieniała się organizacja wojska i formy poboru złagodniały. Racja państwa obrony już się stała zrozumialszą na wsi. Przemoc też w przebiegu lat uczyniła swoje. Niedługi uszedł czas — i nasi butni podhalańscy chłopcy, nie chwytni, sami na wezwanie stawiają się na miejsca asenterunku. Już i pewna żołnierska chępliwość, bliska ochocie, poczyną się u nich głosić. Jakoż i śpiewki inne czas nawodzi:

Wesoło mi grali, wesoło śpiewali,
Kie mie w Nowym Targu do miary stawiali.

W wieku XIX rozjarzą się jeszcze na Podhalu iskry buntu, łącznie już ze sprawą Polski — owa znana w 46 roku krwawym rebelja chochołowska, do której przez Andrusikiewicza zwerbowany lud z okolic Chochołowa, Dzianisza, Cichego, zapisał się chlubnie wystąpieniem swem na karcie walk o niepodległość. Poczem szarość pozytywna, jak mgła nawiana z ziem okolnych, pokryła, zdawało się, i tę wysoką dolinę.

*

Minęło wieku pół. Stojąca u wrót w r. 1912 wojna z Moskwą kazała pomyśleć o stworzeniu polskich wojskowych organizacyj. Ruszyło się, co żywe, gorętsze — i Podhale nie zostało wtyle. Powstałe w owym czasie „drużyny podhalańskie“ nawiązały charakter swój do tradycyj tej ziemi. Święto rocznicy rebelji chochołowskiej, ów głośny zjazd w Chochołowie, jak i w tymże roku 1913

obchód w Nowym Targu konstytucji 3-go maja, pozwoliły stwierdzić szybki i piękny wzrost drużyn. Do tysiąca chłopców, jak las świec jarzących, stanęło w szeregach na rynku nowotarskim.

Topniejące, jako się zdawało, chmury konfliktu zbrojnego osłabiły rozpęd zaczątkowy. Gdy miano nad utworzeniem z drużyn pogotowia zbrojnego zacząć pracę, zaszły wypadki niespodziewane — wojna i pierwsza faza jej: mobilizacja. Z Podhala pobrano i powołano do armji wszystko, co jeno z bronią miało styczność. Rozbito przez to drużyny. Około dwustu najmłodszych poszło ze Strzelcami.

Aże gruchnęła nowina, że tworzą się Legjony. Na Podhale przybył Włodzimierz Tetmajer jako komisarz wojskowy, celem przeprowadzenia werbunku. Do dziedzin rzucił manifest porywający. — Zaczem biura werbunkowe rozpoczęły w promieniach swych pracę — jedno na skalnem, drugie na dolnem Podhalu.

Mimo że czas był niedogodny — prawie najgwałtowniejsze zbiórki owsa — mimo że mobilizacja już emigracją za morze napoły wyludnione wsi doreszty z chłopów wypleniała, to jednak nie było dziedziny tak lichej, któraby bodaj kilku, kilkunastu chłopców ochotników, ostatek swojej możności, do Legjonów nie zgłosiła. I gimnazjum nowotarskie, sama prawie góralska młodź, dało pokaźną liczbę ochotników.

Niezapomniany mi zostanie dzień asenterunku zwerbowanych — w Czarnym Dunajcu. Trzystu chłopców z okolicy stawilo się tu „do miary“. — Na placu przed piętrowym budynkiem szkolnym, w którym odbywa się

przeгляд, gromada kobiet, matek i sióstr, które ściągnęły za swoimi. Jakaś stara kobiecina patrzy zażawionemi oczyma w okno pierwszego piętra, gdzie „odebrani“, wychylając się, huczą na cały rynek:

Pódziemy se dołu, ej, dołu ku dolinie —
Kozda nasa kulka wraha nie ominie...

Z chlupaniem połyka łzy, staczające się po brózdach lic, wreszcie, nie mogąc się zsilić, wybucha głośnym szlochem.

Z okna pierwszego piętra przez ciżbę głów huczających wychyla się po pierś młody wyrostek. Woła w głos, by był słyszany:

— Iciez, mamu, do domu. Nie krzyccie, bo ni macie o co. I takby mie wzieni — a ja wolę tu, przy Legjonach, przy nasych. Iciez do domu, nie stójcie. Przydę jesce, bo nam obiecali urlop, to wam pomogę zebrać z pola.

Ucichła, przygarbiła się, naciągnęła chustę na głowę i posłusznie odeszła.

Parę niewiast młodych otacza rosłego chłopaka, który płacze.

— Coz jemu? — pyta ktoś. — Cy go odebrali?

— Haj!... temu krzycy, jeze go nie wzieni.

— Widzieliście wy?

Przechodzi wójt z tejże wsi.

— Mój wójcie — zwraca się doń ów chłopak — pytam was pięknie, wstawcie się za mną...

— Ja juz gadał konwisyi — rzecze wójt — jeze mas straszną chęć, chłopce, ale coz... skrony tych palców ni mogą cie wziąć. Taki przepis.

Chłopak podniósł dłoń prawą. Czterech palców brak. W jakiejś bitce ucięte lub też z urodzenia...

— Ja tą ręką lepiej trafię, niżli poniektóry zdrową. Hań wiedzą wójt: przecie ja od pięciu lat raubszycuję, a nie zdarzyło mi się chybić.

Wójt przyświadczył z uznaniem:

— Prawda. Ale co poradzisz, kie taki przepis.

Przeszli przez surową „miarę“ chłopcy: z Witowa, Chochołowa, Dzianisza, Cichego, z Czarnego Dunajca, Wróblówki i t. d.

Półtora kompanji „odebranych“ ustawiło się na rynku.

Słowa do nich ogniste komisarza Tetmajera. Komenda: „Bacność! W lewo zwrot!“ Dopiero zszeregowani — już żołnierze. Pomaszerowali dumnie do Nowego Targu. Śpiewki się przed nimi niosły, lecz już inne, niż czasu minionych werbunków.

Prostuj se głowicę
E Jędrus bassamtobie!
E bo hań po dolinach
Idzie hyr o tobie...

Nieście se głowicki
E prościutko a dumnie —
Coby powiedzieli:
Haj!... jak sie niesą siumnie!

I ponieśli się „siumnie“ — a „hyr“ szedł za nimi. Wyśłużyli sobie w Polsce własną dywizję, której też „Jędrus“ z Białego Dunajca generałuje.

4. LEGJON WSCHODNI

W drugiej połowie września 1914 roku rozeszła się po Podhalu wieść, niewiada skąd zrodzona, o zamierzonym rozpuszczeniu Legionów; co nietylko dalszym staraniom werbunkowym stawiało duże przeszkody, lecz zagroziło nawet rozsypaniem się już utworzonym i ćwiczącym kadrom. Później stało się widocznem, że ten wiatr depresyjny wiał od Mszany Dolnej, gdzie obozem stał Legion Wschodni.

Niebawem też pojawiły się w Zakopanem pierwsze, w zmyłonej drodze lotu pobląkane, ptaki.

Pewnego dnia, gdy siedzimy przy obiedzie w jednej z restauracyj, wchodzi do sali gromadka młodzieńców w mundurach legionistów. Rogatywki na bakier, kurtki na ramię junacko przerzucone — efektownie, lecz miny jakieś przygaszone. Po kroju mundurów, jakoteż całem ich wzięciu, łatwo poznać, że są z Legionu Wschodniego. Potwierdzają to następnie słowa ich rozmowy, ponad stoliki ciskane. Padają wyrazy rozgoryczeń, zarzuty pod adresem przełożonych władz, śmiałe krytyki rozkazów — zdania w ustach żołnierzy wielce dziwne.

Widać już było z tego, jak tam daleko rozkład w szereгах postąpił i jakim duchem destrukcji napojon jest ów Legion.

Na skierowane ku nim pytania, z chaotycznie jednych przez drugie przerzucanych zdań, takie mniej więcej spoiły się charakterystyczne dla tych młodych legjonistów i ich guwernerów wyjaśnienia:

Wyszli ze Lwowa pełni zapału i wiary. Ale już wnet podcięto skrzydła ich ochocie. Trudy nadmierne, marsze uciążliwe, postoje bez kwater na deszczu, głód, ćwiczenia wyszukane, sekatury, traktowanie jak najgorsze, tyranizacja. Wszystko jedno — szewc czy akademik; a oni przecie są inteligenci, mający prawo do jakichś względów. Nieprawdaż? Pędzono ich niewiadomo dokąd. Drohobycz, Sanok, potem Jasło. Nakoniec Mszana Dolna. Tu szemranie doszło do zenitu. Okazało się, że ich na zdradę wiedziono, żeby ich zaprzysiężonych zaprzedać, wcielić do landszturmu. Jakże to? Oni, polskie wojsko, mają składać przysięgę? — a jakie gwarancje? Wrzało jak w ulu, burzono się, radzono, sejmikowano. Wkońcu przyszedł rozkaz: albo, albo. Już byli zdecydowani. Wiedzą, co żołnierz polski ma uczynić. Wnieśli podania o urlop. Urlop dostali nieograniczony — z tym komentarzem ustnym, żeby się już na miejsce zboru nie stawiali. Oto i wszystko. Wychodząc z domu, mieli zaopatrzenie wszelkie, a teraz zostali bez grosza; — ten jeden mundur, z którym niewiadomo co zrobić, i droga w świat otwarta.

Niewiedzącym o istotnych źródłach (jakoteż i wielkości) onego wzburzenia, wydawało nam się to wszystko mało rozumiałem. Czuliśmy tylko poza tem nieobjętą oczyma katastrofę.

A co do owych młodzieńców, zaprawdę żal ich się

robilo. Widziało się rozbitki własnej ich naiwności i czyjś przemożnego wpływu. Gdy się patrzyło na te ich postaci, rozrzutne w gestach i pozach, żywo stawała przed myślą owa sympatyczna studenterja z dawnych powstańczych przygotowań. Wydawali się przez ten zewnętrzny romantyzm i zupełne nierozumienie chwili jakbyś niewspółcześni i jakby ze skrzydła jakiejś ruchawki luźnej a nie wojskowych kadrów oderwani. W tej sali, pretensjonalnie ustrojonej w sarnie i jelenie rogi, czynili raczej wrażenie młodzieży myśliwskiej, z nieudalego polowania do leśniczówki oto ze wsi wpadłej, niż żołnierzy legjonowych. Wyjaśniały się zatem i powody ich goryczy odnośnie do przełożonych. Każdy z nich uważał się za godnego co najmniej rangi porucznika, a tu każą maszerować jak pierwszemu z kraja.

Można było jednak sądzić jeszcze, że to grupa niewielka owych „tyranizowanych“ wniosła o urlop podania, lub też polecono im tę drogę z Komendy, aby nie siali w szeregach niezadowolenia, a zaś Legjon jako całość trwa i po wstrząśnieniach wewnętrznych tem spoiśszym się ujawni. Niestety, spodziewaniu temu wkrótce smutna naprzeciw wyszła rzeczywistość.

Wypadło mi o tym czasie odwiedzić dom rodzinny w Porębie, położonej koło Mszany Dolnej. Wobec zata-mowania kolei przewozami wojskowemi, trzeba było wybrać się furą. Zgwarzyłem się tedy co do onej drogi z gazdą-przyjacielem z Poronina. Gazda miał wprawdzie jednego tylko konia w stajni, bo drugiego zajęto „na forszpan“, sprzągl jednak z wynajętym u sąsiada, złożył „lando“ i pojechaliśmy.

Po drodze uderzały wzrok nasz coraz gęszczące się, w miarę jak nam gościniec urywał, objawy nieoddalnej wojny. Ciągnęły fury z ludzką biedą, okryte przemokłymi, szerniałymi od deszczu płachtami. Od Jasła, od Rzeszowa i z dalszych okolic. Konie zmożone docna, ludzie bladzi, półbłędni z trudów i niewywczasu, jakoteż z przeżytego strachu. Wyrwali się z ogniowej gardzieli piekła, wzięwszy co się dało naprędce z dobytku swego, ostawionego zresztą na pastwę nieuchronnego zniszczenia, i dążą oto od tygodni wśród chłoszczącej niepogody ku bezpiecznej zachronie Tatr. Mijali nas jeźdźcy w kilku lub pojedynkę na zakrętach gościńca zjawiani, w tem pustkowiu wysokiem nieprawdopodobni. Mniej jeszcze realne na dzwoniącym odludziu Obidowej przemykały w tumanach kurzu wojskowe samochody.

Dojeżdżamy do Chabówki. Stacja zapchana wagonami. Parę długich pociągów w przejeździe. Na jednym, wóz za wozem, brązowe polne armaty, strojne w wieńce z drużbami kanonierami. Drugi pociąg przepelniony rozśpiewaną rezerwą — gałązki choiny u czapek — barwy węgierskich pułków.

— A cóżto za wojsko? — pyta w zadziwieniu gazda, wskazując biczyskiem na plac obok dworca.

Na placu, jak i wyżej na gościńcu, widać było leżące obozem lub snujące się bez celu gromadki szare, apatyczne, w mundurach wprawdzie, lecz czyniące raczej wrażenie rozpuszczonej trupy, niż żołnierzy.

— Z Legjonu Wschodniego — wyjaśniam.

— Ciewy! to legjoniści? — zastanowił się gazda. —

A czemuż się to tak wałęsa. Czyto nima nijakich starszych nad nimi?

Właśnie nadjechał wóz naładowany, zatrzymując się powyżej na gościńcu. Towarzyszył mu na końcu jakiś „starszy” — widać oficer intendentury, człek już niemłody, siwiejący. Zwrócił się z jakimś rozkazem do najbliższej z grup, zapewne dotyczącym wyładowania lub dalszego transportu bagaży, lecz jakby słów jego nie słyszano, nikt się nie poruszył. A gdy, podjechawszy bliżej, począł coś z konia przedkładać, pomruk jeno i protesty zelżywe wywołał. Zaklął więc, szarpnął konia w gniewie i odjechał.

Gazda mój, obserwujący uważnie tę scenę, zgorszył się niepomiernie.

— Och, źle — powiada. — Patrzcie ludzie, starszego nie słuchają. Jakoż to, to każdy ma być sobie jednoralem? Cożto za nowotne reglamina? Jeszcze też takiego wojska nie dało mi się widzieć. — Kręcił głowę w zdumieniu i nie mógł myśli od tego oderwać. — Ja to muszę zbadać — rzekł wkońcu.

Korzystając z popasu i zasypawszy koniom owsa, poszedł niby bez celu na plac rzeczony między gromadki, stał tam, kogoś zagadnął, a wszystko zlustrował dokumentnie swoim niezawodnym okiem. Wróciwszy, powiada:

— Dyc to haw, panie, bieda. Nijaki w tem duch nie świta! I głodne toto widać. Paru mnie napastowało, coby co od nich kupić. Jeden mi pas z ładownicą chciał wkuścić, drugi rewolwer — coż mnie haw po tem? Lutość zbiera, bo oczywistnie głód temu dokucza; wnetby ten

mundur ze siebie przedało. Ale czemuż się to czego nie imie?

I znowu, przypomniawszy sobie scenę nieposłuchu, gazda mój rozeźlił się.

— Jaby toto wszystko zaprzął do roboty; niech się we wojsko nie bawi, kie słuchać nie chce.

Z tem ześmignął konie i ruszyliśmy. Zaraz w Rabce napotkaliśmy drugą partję podobną koło kościoła na kamieńcu.

— Widzicie ich? — wskazał biczyskiem gazda. — I tu są znowu. Wiecują jak za dobrego czasu.

Niezadługo zoczyliśmy znów kilku w mundurach legionowych koło gościńca w sadzie, otrząsających śliwy.

— To to wej! — rzecze gazda. — Na wojnę, powiada, idzie (strzeż się, wrogu!) a tu je na śliwkach.

I już odtąd wzdłuż całej drogi ku Zarytemu, ku Mszanie, co kilkadziesiąt lub kilkaset kroków spotykaliśmy po kilku lub pojedynką wałęsających się legjonistów, kręcących się przy kopaczach w polu, lub leżących przy rowie gościńca. Istnie jak rozsyp maruderów po jakiejś klęsce.

Gazda mój już nic nie mówił, jeno skręcając ku mnie głowę, wyjmował fajkę z zębów i spluwał. Poczem zaciął konie.

5. OJCIEC I SYN

Kompanja pierwsza bataljonu uzupełniającego miała wyruszyć w pole. Naznaczono zbiórkę bataljonu na dziewiątą godzinę rano przed kasarnią kompanji przy szosie, za miastem.

O oznaczonej godzinie, przy dogrzewającym już słońcu, stanęła na placu zbiórki kompanja odchodząca w pełnym rynsztunku; pobok kompanja druga, trzecia, kompanja podoficerów rachunkowych, kadra ułanów, muzyka.

Sekcyjni i plutonowi wyrównywali szeregi, kompanijni lustrowali szyki, przechodząc wzdłuż frontu swych oddziałów, reszta oficerów stała grupą w oczekiwaniu odmarszu.

Na szosie przed formacją zebrała się gromada ciekawych, kobiet i wyrostków żydowskich z przedmieścia. Pośród tej gromady ruchliwej stał wysoki, dystyngowany pan o białych włosach i pięknym obrysie głowy. Stał jakby w ziemię wrosły, nie zważający na potrącenia, na nic wokół, i patrzył ku szeregom legjonowym, w jedno miejsce.

Tam, w szeregu pierwszym kompanji, która miała odejść, trzeci od lewej strony stał młodziutki legjonista o dziecięcej jeszcze twarzy, lecz dziwnie bujnie wysmukły, głową wyrastający ponad innych.

Przed kilku miesiącami zgłosił się do bataljonu. Młodziutki, lecz nad wiek rosły. Nim go, ważąc tę sprawę, przyjęto, zjawił się ojciec — wysoki, siwy, piękny pan — i jął tłumaczyć, że gdyby syna miał w leciech i sile, nie odmawiałby go od usług ojczyźnie, bo i sam nawet, gdyby mógł... lecz chłopiec nie ma lat przepisanych; wybujał wprawdzie, ale ze szkodą sił — w piersiach nosi zarodek chorości matki... Trzech synów miał. Dwóch zmarło — ten jedynak pozostał. To mówiąc, płakał wewnątrz. Uznał jego wywody komendant i wobec syna poparł ojca perswazje. Chłopiec dał się ze smutkiem nakłonić: wrócił do domu z ojcem.

Przed kilku tygodniami, gdy bataljon rzeczony znalazł się daleko w głębi ziem okupowanych, zgłosił się znowu młodzieniec ów z wolą nieodwołalną do służby. W międzyczasie ukończył lat siedmnaście. Gdy nadszedł za nim list ojca z powtórzeniem racyj uprzednich i odwołaniem się do życzliwej wyrozumiałości komendanta, chłopiec był już asenterowany i do kompanji ćwiczącej wcielony.

I oto teraz, gdy kompanja ma wyruszyć w pole, przyjechał ojciec. Stoi pośród gromady gapiów, odcinający się dystynkcją, wysoki, spokojny, i patrzy na syna, który wyróżnia się rostem i postawą w pierwszym szeregu.

Po promieniach, niezbaczających na włos, idą z ócz do ócz ojcowskie wyrzuty, skargi — synowskie słowa przysiężne, zwierzenia. Gdy karabin i spiętrzony wysoko tornister, nadto ciężące chłopięcej, łodyżnej postaci, ociągają i zdają się przyginać jego przysłabłe ramiona, a na licach wykwitają rumieńce zmęczenia, prostuje się

w ten moment, twarz kamienieje dumną, męską wołą, i oczy mocne, żołnierskie posyła w odpowiedzi wzruszonym światłom ócz starego pana. — A w oczach oto siwego pana przez żal, ból rozłąki, trwogę o jedyne, przeziara duma ojca. Syn-żołnierz-legjonista — w pierwszym szeregu. — I tak się trzyma postawnie...

Słowa komendy, powtórzone dalej; bataljon ruszył ku miastu. Na przedzie muzyka — oficerowie, komendant — kompanja pierwsza...

Syn, jak struna, na ton wysoki napięta, w pierwszym szeregu.

Ojciec idzie pobok trotuarem. Oczy utkwione w postać syna. Muzyka buchnęła marszem. Stara się do taktu nadażyć, lecz nagle ociężały mu nogi, jakby kajdanami objęte. — Powlókł się, potrącany, patrząc przez łyzy ócz na widną zdala ponad szeregami, jak sztandar drogi, głowę jedynaka.

6. RUBIN CHEĆCIŃSKI

Przechodziliśmy z komendantem bataljonu uzupełniającego przez rynek w miasteczku R. W dniu tym odbywał się targ na rynku. Koło straganów, na których Żydzi porozkładali swoje niewielkie bogactwa, kupiły się gromadki nędzoty miejskiej, chłopów i bab z okolicy, przynęcane nawoływaniem kramarzy. Stały też kupy przemienne na rynku, wzdłuż chodników, omawiające różnorakie swoje interesy.

Przez jedną z gromad skupionych w pobliżu przedarł się ku nam wyrostek żydowski.

— Przepraszam — zwrócił się do komendanta, zdejmując czapkę-jarmułkę. — Powiedzieli mi, co pan jest komendant od Legjony.

— Czego chcesz?

— Ja chcę wstąpić do Legjony...

W chałacie długim, szczupły, o zapadłych piersiach, szyi przygiętej i o bladej twarzy, czynił wrażenie mizerne, zaiste śmieszne wobec wyrażonej chęci. Oczy duże, aksamitne, czarne, uderzały natomiast siłą postanowienia.

— Skądżeś ty? — pyta komendant.

— Z miasta Łodzi.

— A jakżeś się tu dostał?

— Ja wyszedłem z miasta Łodzi i zaszedłem do miasta Piotrkowa... Bo powiedzieli mi, co tam są Legjony. Tak ja się tam zgłosił...

— A lekarz w Piotrkowie badał cię?

— Nu, un mnie widziol.

— I cóż ci powiedział.

— Nu, un się tylko śmiał.

Roześmiał się i komendant.

— Ba! pewnie. A jakżeś tu trafił?

— Powiedzieli mi, co tu do Legjonów przyjmują. Tak ja wyszedłem z miasta Piotrkowa...

— Przecież ty, chłopcze, sił nie masz! — przerwał mu komendant. — Przypatrz-że się, jak ty wyglądasz! Któryżby cię lekarz uznał za zdolnego do służby wojskowej? Do wojska trzeba siły. No i jakiej takiej postawy! (Mówił to kapitan, dziś podpułkownik, Galica.) Chęć sama nie wystarczy, choć to chwalebna rzecz...

— Panie komendancie! Ja mam siły! Ja się chcę bić! Ja chcę iść prosto na linję!

Komendant przyjrzał mu się uważniej.

— Jak ty się nazywasz?

— Rubin Chęciński, z miasta Łodzi.

— Któż cię do Legjonów nakłonił?

— Panie komendancie. Mnie nikt nie nakłonił. Ja sam się nakłoniłem. Ja czytom pisma, gazety. To jak ja czytom, to sobie potem myślę nad tem, co tam stoi. To w jednej gazecie stało o Legjony... To ja sobie tak myślę o tych Legjony — i na końcu przyszedłem na to, co uni mają recht. Tak ja wyszedłem z miasta Łodzi i przyszedłem do miasta Piotrkowa...

7. Z DROGI CZWARTEGO PUŁKU

Nie czas teraz pisać historję bojów legjonowych. Złoży się ona z ogłoszonych po wojnie w swym czasie rozkazów, meldunków ważnych, kronik i zapisków, i z zestawienia opowieści wielu uczestników w całości kształt, prawdzie podobny.

Narazie chodzić może o podawanie wieści-stwierdzeń z pola wojennych zmagañ, niejako doniesienia żołnierskie rodzinie w domu ostajej, któreby pojaśniały szerszy ogół o działaniach i trudach bojowych naszych legjonowych formacyj, a dając w skrócie prawdę rzeczy, niweczyły też fałszywe legendy, jeśliby jakie, co się zdarza, około onych powstały.

Tu też chcę podać parę takich stwierdzeń o bitewnych przeprawach czwartego pułku Legjonów — z jego kilkotygodniowej drogi, od Wisły do Zabuża — w których bliskości lub jako uczestnik miałem zaszczyt się znaleźć.

Po raz pierwszy pułk czwarty wziął udział w boju, nocą, pod Majdanem Borzechowskim, jako rezerwa — przyłączony wraz z brygadą pierwszą do dywizji 106. armji IV arcyks. Józefa Ferdynanda. Tam to komendant pułku, głośny z Karpat, Roja, aby zachęcić nieoswojonego z kulami żołnierza — część bowiem znaczną pułku składali nowicjusze z Królestwa — przejeżdżał konno wśród śpiewających kul pomiędzy szeregami tyraljerskie-

mi, nie myśląc zgola o „dekunku“, czem chłopców więcej niż najmocniejszymi słowy przyśmielił. Tam też kapitan Galica, prowadzący bataljon pierwszy w pierwszej rezerwie, podsunął się śmiało ku frontowej pozycji, a pytany przez napotkanego po drodze w okopie komendanta oddziału austriackiego: jaki ma rozkaz? odkrzyknął: „iść naprzód!“ Czem pchnął ów oddział dalej. Do ataku jednak nasz bataljon nie doszedł — już bowiem wojska austriackie linję nieprzyjacielską złamały. W tej sprawie miał pułk jedenastu lekko rannych ludzi.

Stał pułk czwarty następnie jako rezerwa brygady pierwszej pod Czolną — tam jednak, mimo pogotowia bojowego i alarmów parokrotnych, do boju nie został wciągnięty. Dopiero na północny zachód od Lublina, gdzie na wzgórzach, dominujących nad okolicą, umocnił się w pozycjach obronnych nieprzyjaciel, przyszedł pułk czwarty na odcinku pod Jastkowem do frontowej walki.

O boju jastkowskim podał już relację w *Wiadomościach Polskich* p. Bol. Pochmarski; ograniczę się więc tylko do paru uwag odnośnych, nim na podstawie rozkazów, raportów, map pozycyjnych i zestawień będzie można dać w przybliżeniu obraz tej zaciętej, trzy dni bez wydechu trwającej bitwy.

Pierwszy dzień był najgorętszy. Było to istne piekło ognia i huku. — Mówił komendant jednej z baterij, popierających zadania naszych oddziałów w tej bitwie, że tylko pod Gorlicami był widzem podobnie gwałtownego ognia.

Z trzech bataljonów pułku, pierwszy i trzeci trwały przez ciąg cały bezpośrednio w walce. Bataljon drugi był

w rezerwie, sukursując kompanją jedną skrzydło prawe, nim w ostatnią noc nie zluzował bataljonu pierwszego.

Co do zasług — wszyscy, oficerowie, jak żołnierze, stawali świetnie; tak ci, co karpackie przeżyli już doświadczenie, jak i ci, co pierwszy raz w takiej ogniowej znaleźli się próbie.

Najtrudniejsze miał zadanie dowódca skrzydła prawego, kapitan Galica. Spisał się dzielnie. — Odznaczyli się porucznicy: Bończa-Uzdowski (ranny), Nowakowski, Zulauf (zostali mianowani kapitanami); lecz całą listę oficerów trzeba wymieni, chcący oddać zasłudze sprawiedliwość. — O dzielnem zaś stawaniu żołnierzy najlepiej świadczą słowa pułkownika: „Żeby z taką brawurą chłopcy szli, jak bataljony Galicy, Szerauca, tego nawet w Karpatach nie widziałem“.

Dn. 3. sierpnia o świcie Moskale zmuszeni byli się cofnąć. O ważności spełnionego zadania świadczy dowodnie uznanie dla pułku ze strony komendy korpusu. Gdy pułk po skończonej bitwie maszerował dalej szosą koło Jastkowa, podjechał ku nam komendant korpusu, i zebrawszy wkoło oficerów, szarżę, dziękował im i polecił wpisać do rozkazu, iż

wyraża oficerom wszystkim, szarżom i żołnierzom czwartego pułku Legjonów najgorętsze podziękowanie i najwyższe uznanie w imieniu Najwyższej Służby za nieustraszone męstwo i poświęcenie Czwartaków w bitwie pod Jastkowem — Józefowem w dniach 30 i 31 lipca i 1 sierpnia, podczas których nietylko nasz front został posunięty ku okopom nieprzyjacielskim, ale które nadto spowodowały przesunięcie rezerw nieprzyjacielskich przed nasz front, osłabiając przez to nieprzyjacielskie prawe skrzydło, co w następstwie przełamanie tegoż skrzydła spowodowało.

Straty pułku w bitwie pod Jastkowem wyniosły około 50 zabitych, 270 rannych; w tem 2 oficerów zabitych i 8 rannych. Więc nie tak wielkie, jak fama głosiła, jeśli się zważy, że bitwa trwała trzy dni, z całą zaciętością, z atakami na druty kolczaste. Najwięcej ucierpiał bataljon pierwszy, na najgęstszy ogień przez położenie terenu wystawiony.

W pochodzie dalszym pod Bratnikiem stanął pułk w linii ognia. Tu na pozycję pierwszą wysunął się bataljon drugi, przyczem kompanja por. Zulaufa, gdy szła zluzować honwedów, znalazła się w ulewie szrapneli na niewielkim kwadracie lesistym. Strat było 2 zabitych, 19 rannych. W zysku: zajęcie Kozłówki i uratowanie części onej z pałacem Zamoyskich od spalenia.

Najmniej krwawą, a efektowną, była w drodze pościgu bitwa pod Wolą Ossowińską. Tu naprzód bataljon trzeci pod dowództwem kap. Szerauca potykał się z kozackimi oddziałami w lesie — na prawo odeń posuwał się bataljon pierwszy kapitana (dziś już majora) Galicy. Następnie bataljon trzeci (lewe skrzydło) pozostał nieco wtyle, a z bataljonem swym kapitan Galica, wypierając z dwóch pozycyj — jedna za drugą — Moskali, zajął Ossowińską Wolę. Strat było przy tem 7 lekko rannych. — „Oba bataljony dobrze szły. Pierwszy jak w szkole“ — wyraził się z uznaniem pułkownik.

Wogóle w przeprawach tych, a szczególnie w bitwie pod Jastkowem, złożył pułk czwarty dowody takiej sprawności bojowej i męstwa, iż w zupełności odsłużył zaszczytną nazwę: Czwartaków.

8. S O B Ó T K I

Na Galicowej Grapie
Sobótek dziś nie palą:
Na wojnę poszli chłopcy,
Na odpór przeciw Moskalom...

Tak mi się czasu wojny zaczęła *Duma o Galicy* — niedokończona.

Staliśmy wonczas naprzeciw Moskali. (Jakże to widać się dawno!)

Poszła z Podhala wszystka młodzież, skrzyknięta hasłem nakaźnem na obronę dziedzin — któż, myślimy, będzie tam sobótki palił?

Zresztą paliły się nam co noc sobótki przerażne — gdyśmy z onym pułkiem czwartym dążyli przez Lubelskie, Siedleckie, podlaską ziemię, ku Litwie. — Płonęły wsi, miasteczka, stogi zbóż — szliśmy w okolu pożarów. Co noc wynosiły się pod strop niebios grozą żagłę łuny. (Jakże to dawno!)

A w on czas podjesienny mobilizacji — gdy ziemią poszedł wstrząs? Kopacze na zagonach prostowali zgięte grzbiety, patrząc na łyskające drużyny, zdziwieni:

— Coz się to hań świeci,
E coz się to hań łyska?
— Dyć to nasi chłopcy
Złożyli ogniska.

— Czy to o tym czasie
Sobótki palują?
— Ze-dyć to hań w Polsce
Wojnę uchwalują...

Uchwalili wojnę w Polsce, krótką - niedługą. Zapisał serdeczny niósł. Przecież to w pacierzu polskim:
„O wojnę powszechną ludów prosimy Cię, Panie...“

Znoszono, co kto miał. A młodzież najżywotniejsza ofiarowała, co miała — mało-niewiele: — swe życie.

Poszły oddziały szare... Krzywopłoty — Laski — Konary — Mołotków — Rafajłowa — Jastków — Koszyszcze — Rokitna... Wejście do Warszawy. Później Szczypiórno — Huszt — Murmań... Dramatu polskiego ciąg dalszy...

.....
Nie palono sobótek przez lat kilka na Grapie Galicowej.

Aż ci podorastała młodzież nieletnia (życie! życie!)— i tej wiosny, tych Zielonych (jak zielonych!) Świąt, gdym akurat w Poroninie na urlopie bawił, zapłonęły po górach ognie sobótkowe.

Ledwo zapadło słońce za wał Gubałówki i ponikły z wierzchołków Tatr oblaski zorzy zachodu — gdy na widnych wyniesieniach poczęły wykwiatać światła. Na zboczach Grapy, na Zubsuchem, na poronińskich działach, na oddalonych, nocą leśną omoczonych Reglach, na wszystkich okolnych wzgórzach roznieciły się ognie ruchliwe. W zapadającym już zmierzchu korowody światła idą — rozdzielają się, łączą, kreślą zakola, elipsy — dziwne sprawiają oczom misterje.

Pamięć zbaczuje „pogańskie“ (jakże niepodległe!) czasy — gdy święte ognie płonęły po górach: obchodzono w weselu święto Kupały. Musiało to być w czasie, gdy wiosna z latem się mija — gdy Rodzanica obejmuje swoje panowanie, by je oddać pod jesień Marzannie. Tańczono koło ogni święte wesela tańce — hukano bogu pieśni-zaklęcia odczynne — a kiedy ognie przygasaly, a na pomroczy nieba wyjawil się srebrzysty półkrąg Swarozyca i osuł poświatą ziemię: szły pary młode w drzeniu serc szukać w wilgotnych zadrzewiach, w cieniu spróchniałych pni, świecących tajemniczo, kwiatu paproci...

Przyszedł Kościół i wytłumaczył, że ognie winno się palić na Ducha Świętego Zesłanie, jako że Duch Święty objawił się w postaci płomieni nad skupionemi głowami apostołów. Że Rodzanica, Wielka Dziedza, jest Rodzicielką, Matką Boga. Że Marzanna czy Szwantya Marza jest nikt inny jak Święta Maryja. I tak to się powoli — po latach — ludzie prości nauczyli „wierzyć“. Z dawnych „pogańskich zabobonów“ pozostały w tradycji sny jakieś, mgliste przypomnienia — takim to dziś odbicie Sobótek.

— Cicho! śpiewają.

Od jednych ogni ku drugim niesą się śpiewki tęskliwe.

Lecą wyznania śpiewne, odpowiedzi. Odpowiadają dziewczęta chłopcom — i naodwrot. Śpiewają pasterkie sprawy, znane lub słyszane.

— Kiedych cie uwidział
 W zielonej ubocy,
 Zamiłowały się
 W tobie moje ocy.

— Wtedy ja cie, wtedy,
Janicku, poznała,
Kiedys owce zganiał,
A ja wolki gnała...

Wierzchem idzie korowód pochodni. Gdzieś tam bu-
cha ognisko wysokie.

Tatry tają w mglistej omroczy oddali.

Poświata półksiężycą osnuwa ciche osiedla.

Skądś dobiega żalosne zawrodozenie skrzypiec, dyszą
basy. Gdzieś przy ognisku tańczą.

Potworzyły się chóry dziewcząt i osobne chłopców.
Rozśpiewała się noc. Jeny głosy dziewcząt mocne, pełne,
niesą się daleko — a chłopców głosy słabsze, głosy niedo-
rostków i bardziej jeszcze zgasłe inwalidów. — Niemasz
tych, co śpiewowali: Leżą kędyś w Karpatach, w pia-
chach Wołynia, w Alpach włoskich, w pustaciach serb-
skich, w Rumunji... a ci, co jeszcze żyją: na drogach ob-
cych, dalekich się tłuką.

I oto mimowoli myśl nawraca ku temu samemu. Ku
tym sobótkom strasznym, które zajęły świat.

W każdym momencie jedno tkwi:

Pozarem płonie świat.

W każdym momencie jedno brzmi:

Brata uśmierca brat.

Nie myśleć, jak to, przez godzin ciąg:

Pali się świat

Mordercą brat,

Wojna jest w krąg!...

(L. Marck.)

Przeszły, oddaliły się lata wojny, z której, jak wyspa z potopu krwawego, wyłoniła się, pokoleniami wytęskniona, Polska...

Zdawałoby się, że wróciła też sobótkom, na wolnej ziemi palonym, radość weselna. Że z wierchu na wierch — od ogni do ogni — nieść się będą wyzwolone, oddechem wolnych piersi spotęznione, odkrzyki orle, pieśni życia, ba, już nie pieśni — płomienie!

Nic z tego spodziewania... Gdy przyjdzie czas Zielonych Świąt, jako i dzisiaj przyszedł, zapalają się sobótki tu owdzie po wierchach, jako to po zwyczajuj, lecz śpiewów mało skąd słychno ni hukania — wnet z wieczora gasną nikle ognie — wszystko przydusza mrok.

Jakiś przygniot duszący nad ziemią tą niepodległą zawisł...

Na Galicowej Grapie
Sobótki wprawdzie palą —
Ale dusze pogasły —
Smęt je przygniótł skrzyżalą.

RZECZY PRZYGODNE

I. DO POLAKÓW ZABORU
ROSYJSKIEGO

ODEZWA

Doszły nas w tym czasie słyny, iż rząd carski, aby naród nasz rozdzielić nawewnątrz, a nazewnątrz okazać, iż on ma po stronie swej dobrowolnie walczące zastępy Polaków — zamierzył sformować przy armji swej polskie legjony. Machjawelską tę robotę rządu popierać ma pewna grupa ludzi, znajdująca wyraz swój w warszawskim Komitecie Narodowym.

Zaiste. Uwierzyć w to trudno, tak potworna jest ta wieść dla serca polskiego.

Przez przeszło wiek niewoli modlitwą Polski była walka z Moskwą, walka na śmierć i życie z caratem, wysuszającym źródła żywotne narodu, łamiącym zdrowe pędy jego naturalnego rozwoju. A teraz oto, gdy ta modlona chwila w zawierusze wojny światowej nadeszła, mieliby się znaleźć polscy ochotnicy, gotowi stanąć nieprzymuszeni obok carskiego żołdata? Mieliby się znaleźć imienni Polacy, którzyby ujawnili tę zbrodniczą śmiałość: do takiej sprawy nieświadome jednostki werbować? Miałaby Polska, krwią spłyniona, i tę ostatnią tragedję przeżyć, iżby synowie jej — niedość że przez fatalizm dziejów w starciu trzech armij przeciw sobie częstokroć

stawieni, — mieli jeszcze dobrowolnie godzić bagnetem w serca bratnie?

Tej zbrodni kainowej — ufamy — grunt duszy polskiej nie dopuści i imię Polski hańbą tą nie będzie splamione. Wierzmy niezłomnie w instynkt społeczeństwa, iż te zakusy szatańskie caratu i miodne słowa obietnic fałszywych ze wstrętem od siebie odtrąci.

Jedyną organizacją oręza polskiego, w której ujawnia się czynem myśl narodu, są Legjony Polskie, powołane do życia w miesiącu sierpniu roku ubiegłego przez Naczelny Komitet Narodowy.

Dla nieświadomych rzeczy braci w zaborze rosyjskim musimy tu dodać, iż wymieniony N. K. N. nie jest wyrazem jakiejś jednej czy więcej partji, jakiegoś podlegającego dyskusji kierunku politycznego, lecz jest na ten czas z woli narodu powstałą reprezentacją wszystkich, mającą zaufanie całego społeczeństwa. I rzezone Legjony nie są, jak fałszywie w prasie zakordonowej podawano, jakąś ruchawką partyjną, formacją ochotniczą dla czyjejs wysługi, lecz są one wyraźnie dla celu walki z caratem stworzoną organizacją militarną, z komendą polską, ze wszystkimi rodzajami broni, mogącą już dziś stanowić silny rdzeń armji. Czyny głośne i odniesione w wielu bitwach nad wrogiem zwycięstwa uświęciły już w sercach polskich imię Legjonów, a dla obcych stały się dowodem, iż Polska jest i żyje.

O gwarancje ktoś zapyta? Gwarancjami właśnie są: wykazana czynem wola narodu do wolności i siła, jaką w tym momencie powszechnego starcia sił wykaże.

Przeszło milion synów polskich walczy w szeregach

trzech ścierających się z sobą armij. Jest to na liczbę armja olbrzymia, która w naturalnym stanie rzeczy zabezpieczyłaby łatwo byt narodu. Lecz tragedją bezprawnego losu — siła ta nie będzie brana w rachubę przy rozważaniu bytu Polski, pójdzie na rachunek innych. Jedynym widomym nazewnątrz manifestem siły narodu polskiego i woli jego do wolności są okryte już chwałą Legjony Polskie. Wzmacać tę siłę jest obowiązkiem wszystkich Polaków, bez względu na granice, które są w wojnie ruchome.

Rozumiemy trudność tego współczynu na ziemiach zalanych przez armje carskie. Lecz jeśli nie może wyjść narazie jednolitość w czynie, to przynajmniej może się utrwalić (mimo granic) jednolitość idei przewodniej narodu.

W straszliwy oto popadł los naród ten, przed wiekiem ćwiartowany. Bezwolny, znalazł się w samym środku burzy, na przecięciu piorunów. Ognisty wojny słup przechadza się po ziemiach polskich, jak szerokie i długie. Jak otwarta rana wzdłuż ciała żywego biegnie ruchoma, ogniem zionąca granica od Niemna po przełęcze Karpat.

Lecz właśnie w tym najcięższym losie stanęła Polska przed Europą jak upiór krwią ociekły, tak widna w płomieniach wojny jak dotąd nigdy! Imię jej na ustach każdego, z wolą czy bez woli.

Chwila ostatnia, jedyna, by z tej ogniowej próby wypromienił się po przejściu burzy kształt nowy odrodzonej Polski. Wszystkie serca polskie powinny jednotonnie uderzać, dźwignione jedną wolą do wysokości tej grzmoto-

wej chwili. Wszystka rozsypana myśl polska winna się w piorun jednej woli zognić, który ów kształt wykrzesze.

Nie powstanie to już, nie bunt przeciw ciemności, ale wykazana w ogniu straszliwej próby moc i wola narodu.

Wojnę tę, niesłyszaną w dziejach, musi zakończyć pokój gruntowny, usuwający — wierzymy — na zawsze możliwość jej nawrotu. A przeto muszą być usunięte przyczyny, któreby jej wznowienie spowodować mogły. Musi być oddana sprawiedliwość narodom.

Na wagę będzie rzucona i żywotność narodu i jego siła.

Żywotność tę naród polski na każdym polu twórczości przed Europą dowodnie wykazał. Jedyne więc zadanie chwili: — tworzyć siłę! Wielkość jej będzie stanowić o kształcie, w jaki się życie narodu przeleje.

1915.

2. DO SYNÓW CHŁOPSKICH KRÓLESTWA POLSKIEGO

ODEZWA

Jak ziemie polskie długie i szerokie, zewsząd głosi się młodzież chłopska do wojska polskiego, jeno z tych tu okolic, skądby winny najpierwej stanąć zastępy w szeregach, mało co się ochotnych melduje.

Przez co się to tak dzieje?

Czyby przez strach niemądry, który raczej doradza nikczemne chronienie się w lesie, nie honor stawiania naspół z braćmi w szeregu? Czyby przez one bałamutne

bajdy, nieraz nawet przez starszych, poważnych chłopów mówione: o jakimś przywracaniu pańszczyzny i t. d., z czego się już dzieci w dalszych okolicach śmieją? Czyby wreszcie przez bojaźń powrotu Moskali i obawę zemsty z ich strony na tych, co do wojska polskiego przystali? Bo i takie na ludzi nieświadomych rzeczy puszczają strachy pochowani po cieniach zausznicy moskiewscy i ich zwolennicy.

Ale nie taki djabeł straszny, jak go malują. Obcięli już Moskalowi przednie łapy — jedną w Karpatach, drugą na Mazurach; wnet patrzeć, jak się, doreszty zmóŜony, powali.

Kiedy jednak wszystko, co żywe w Polsce, gotuje się do ostatniej rozprawy z najeźdźcą — stać beczynnienie i patrzeć, co będzie z najeźdźcą, to równa się zdradzie albo hańbie.

Cobyście rzekli o takim z pośród was, któryby w czasie siewu spacerował se i przyglądał się, jak wy do znoju robicie, a wołany przez was — krył się w las? Rzeklibyście zapewne: — „Kto nie siewe, to nie będzie zbierał. Plon innym się dostanie!“ Teraz jest siew ognia, siew kul. Taką drogą ludzkość poszła. A dla nas chwila sposobna. Przemoc się siłą odpiera. Takie prawo.

I oto gdy tam nasi chłopcy trudem się w ognistym siewie, co ma chłopskiemu narodowi przynieść plon wolności, gdy inni gotują się, ćwiczają, aby iść im z pomocą, aby ich większa siła była — wy sobie spacerujecie, a wołani — chowacie się w las...

Synowie chłopscy! Wy, przyszli gospodarze kraju! Wasza to ziemia, wasza, nie czyja, ojczyzna — i o nią

dla was bije się nasza młódź! polskie Legjony! Abyście na tej ziemi swej stanęli wolni, aby was Moskal, czy inny wróg nie gnębił. Abyście sami sobie byli tu gospodarzami.

Rzekliście jednak: „Kto nie sieje, to nie będzie zbierał“. Sami odtrąćcie plon swój.

Dziś czas ognistego siewu. Czas ostatni. Jest was, synów chłopskich, dziesiątki, setki tysięcy... Zduście jeno w sobie ten podły strach, który z was zające czyni — obudźcie w sercach dumę chłopską — do kroćset! Może was stanąć armja, która wagę zwycięstwa przechyli. I sami, dłońmi swemi weźniecie swoje prawo: — wolność.

Do Legjonów! Kupą! Tysiącami! Wy wtedy staniecie się strachem Moskalowi, nie Moskal wam!

1915.

3. O B W I E S Z C Z E N I E

Rozkazem nr. 8 Komendy Wojsk Polskich w Krakowie utworzony został Wojskowy Okręg Podhalański, obejmujący powiaty polityczne: sądecki, limanowski, nowotarski, ziemię spiską i ziemię orawską.

Zamiast dawnych polsko-austrjackich pułków, rekrutowanych z Góralszczyzny, t. j.: 20 pułku linjowego piechoty, 32 pułku obrony krajowej i 32 pułku pospolitego ruszenia, ma być (podług rozkazu nr. 12 Komendy Wojsk Polskich) uformowana brygada Strzelców Podhalańskich (t. j. 1 i 2 pułk strzelców z oddziałami karabinów maszynowych, z pułkiem artylerji górskiej i szwadronem jazdy).

Narazie powołuje się trzy najmłodsze roczniki (1898, 1899, 1900), potem, w miarę wykształcenia tychże, w czasie sposobnym dalsze. Zanim to nastąpi, a nastąpi wnet, sądzę, że, nie czekając powołania, obywatele ziem rzeczonych, którzy w wymienionych pułkach (20 p. p., 32 obr. kraj., 32 posp. rusz.) i w innych oddziałach austriackich służyli, zechcą zgłosić się ochotnie do brygady Strzelców Podhalańskich.

Zgłaszać się należy w odnośnych komendach powiatowych, więc: z powiatu sądeckiego w komendzie w N. Sączu, z mszańskiego i limanowskiego w Limanowej, z nowotarszczyzny w N. Targu.

Gdy zaznaczę jeszcze, iż wszelkie reklamacje podstawne będą w szerokiej mierze, szybko i przychylnie uwzględniane — sądzę, iż apel niniejszy znajdzie powszechny posłuch i że nie będę potrzebował zastosowywać przymusu.

Ma to być wreszcie wojsko nasze, z odznakami własnymi, podhalańskie. Ma pilnować ładu i porządku na ziemiach swoich, ma strzec granic swojej własnej Rzeczypospolitej. Przy tem nikogo z górali, kto ma jeszcze jaką taką siłę, braknąć nie może!

Nowy Targ, listopad 1918 r.

4. FRAGMENT LISTU

Poręba W., d. 13 lipca 1920.

...Co do mnie, — miałem postanowienie, jak pisałem, popracowania tu przez lipiec... Tymczasem zaszły w Pol-

sce rzeczy, które mię naturalnie wytrąciły z planu. A to: zbliżająca się chmura bolszewicka, powstanie Rady Obrony Państwa, apel Naczelnika do narodu, wezwanie do tworzenia armji ochotniczej i t. d.... Wszystko, co żywie, garnie się do odporu, naród się ocknął... Chorzy wojskowi do służby powracali. I ja też czułem, przeżywając dni niepokoju, walki z sumieniem, gorączki, że naboku nie mogą trwać.

W tymże czasie dostałem depezę z Warszawy tej treści:

„W naglącej sprawie oddania się grupy całej (literatów) do dyspozycji władz wojskowych — przyjazd pożądany. W razie niemożności przyjazdu prosimy o telegraficzne upoważnienie do podpisania.“

Staff, Berent, Kościelski.

Oddepeszowałem:

„Z akcją podjętą solidaryzuję się, jednak jako oficer, w drodze superrewizji urlopowany a jeszcze nie zwolniony, nie mogę sobą rozporządzać; prawdopodobnie będę wnet w Warszawie.“

I postanowiłem jechać z domu, naprzód do N. Targu poinformować się, jak i gdzie mam się służbowo zgłosić. Tedy nadeszła marszruta od Roi. Wprawdzie Roja z Czechowskim już od dwu tygodni na froncie (jak i Galica), ale marszruta ułatwi mi przejazd do Warszawy, gdzie i tak miałem zamiar. Mianowicie: gdy dowództwa mego tu niema, zgłosić się do Hallera (dowódcy Armji Ochotniczej), który może mię użyć podług zdolności; tam się obaczyć z grupą mych przyjaciół literackich i wydawców...

Z tym zamiarem jutro wieczór jadę. Być może, że plan i kierunek mi się w drodze zmieni; może w N. Targu inne otrzymam wskazania, może inaczej ze względów służbowych wypadnie (choć mogę się traktować jako ochotniak, bo odwołania z urlopu nie mam — ale też i zwolnienia definitywnego)...

...Nie trwóż się w sercu. O mnie najmniej. Zdrowy jestem obecnie, to i trud mi niczem. Baczył też będę na się wszędy, będący między ludźmi... Co do Wilna, jeśliby przeszło od nas, to w ręce Litwy. I to czasowo tylko. Ale i tego nawet nie przypuszczam.

Myślę, że wkrótce osadzimy wroga w miejscu, zaczem poczną się nasze tryumfy. Siły się kupią, naród w tej chwili krytycznej wykazuje niespodzianie dużo ofiary i mocy. Zachód też musi pospieszyć z pomocą, ze względu na siebie choćby. Jestem, mimo wszystko, pełen wiary i pewnie patrzę w przyszłość...

5. W O J N A

(ZAWIĄZEK POWIEŚCI)

R o z d z i a ł I

Bezpośrednie powody wojen, nierzadko stworzone dla mas jako hasła, zasłaniają najczęściej głębsze, istotne przyczyny tychże. Mamy na myśli wojny państw i narodów swobodnych, gdyż walki wyzwolenicze przyczyny mają dla wszystkich widoczne.

Trudno uwierzyć, żeby rybołówstwo na Sachalinie

lub głośna afera leśna Bezobrazowa były przyczyną wojny japońsko-rosyjskiej.

Zaobserwujmy mrówkę na kamieniu oblanym dookoła wodą. Cóż będzie czynić? Będzie naprzód obiegać dookoła brzegi wyspy, próbować nóżkami przy brzegu wody, czy głęboka — poczem wyjdzie na najwyższy cypel skały, rozejrzy się daleko, i dojrzawszy najbliższe stałe brzegi lądu, lub zachuwszy go, zbiegnie nad wodę i puści się wpław w tym kierunku. Za małą chwilę jest na lądzie.

Tak i Japończycy niepewnie czują się na swej wyspie, która ma intencję — jak mówią różne objawy — skryć się pod powierzchnię oceanu. Wybuchy wulkaniczne, tajfuny, niewiadomego pochodzenia olbrzymie, niespodziane przy spokojnej powierzchni, mioty fal urywają brzegi ziemi, kruszą skały, nieraz całe osady znie-nacka pochłaniają. To też w mrówkach-Japończykach powstało z mocy instynktu nieodparte pragnienie: ucze-pić się stałego lądu. Najbliższe brzegi Korei. Lecz tam zbliżył się od północnego wschodu olbrzymi żuk. Więc mrówki-Japończycy musieli cofnąć tego żuka.

Zatem przyjąć można, że podświadome, niejako geologiczne były przyczyny wojny japońsko-rosyjskiej.

Nie inne też zapewne były i owej legendarnej wojny trojańskiej przyczyny, jak kolonizacyjne; w pieśni została przyczyną piękna Helena.

Legenda wstaje częstokroć i w naszych oczach. Nic napozór dalszego od poezji jak dyplomacja, która jednak tworzy owe mity i poddaje je do powtarzania hi-

storji — a ludzkość, niby początkowa szkoła, powtarza je bezkrytycznie.

Są też przyczyny niełatwe do wyznaczenia, podświadome, które w mrokach instynktu mają swoje kinetyczne źródło. Tkwiący w niższych pokładach natury ludzkiej instynkt mordu bywa też pobudką świętych wojen...

W nowożytnych czasach racje państwowe stały się temi wiecznie głodnymi bóstwami, którym w ofierze rzuca się miliony istnień ludzkich; one są najczęściej poza hasłami sztandarów skrywaną wojen współczesnych dyplomatyczną przyczyną.

Te bóstwa stoją poza zasłoną roznieconego pożaru, który rozszedł się na pół ziemi...

(Szkic dalszego ciągu rozdziału:)

A u s t r j a: Znaleziona idea federacji; środkowo-europejskie Stany Zjednoczone. Ukaranie Serbji.

R o s j a: Zgniecenie mazepinizmu; pozór: obrona Słowiańszczyzny; pomoc Serbji.

N i e m c y: „Drang nach Osten“; racje handlowe; obowiązek sojuszu.

F r a n c j a: Wyludnienie; przyczynek Alzacji i Lotaryngji; odwet.

A n g l j a: Przeszkody handlowe ze strony Niemiec.
B e l g j a — deptana przez olbrzymów po drodze.

T u r c j a: Chęć złączenia w całość mahometan. Rosja wchłonęła w swoją państwowość 14 milionów maho-

metan (zjazd autonomistów w 1905 r.); więc odpór i poparcie dążeń niepodległościowych Ukraińców...

Jakiegokolwiek są jednak przyczyny — czy mogą być dość wielkie, aby usprawiedliwić...

(Plan całości:)

WOJNA

POWIEŚĆ.

1. Mobilizacja. — 2. Zgłoszenie. — 3. Powołanie: O żonie. Ewakuowani. Dom spalony. — 4. Pod Lublin. Kraśnik. — 5. W szpitalu. — 6. W Serbji. W Alpach. Do żony. Ranny. — 7. W kadrze. W Karpatach. — 8. Z obozu ewakuowanych. Śmierć dzieci. — 9. Pod Goricami. Chłop orze. — 10. W pościgu. Do krzyża kościoła... Wieszania. — 11. Przez ziemie polskie. Legjony. List do żony. — 12. Na Wołyniu. Na pozycji. Aeroplan. Bratania. Jeńcy. — 13. Ranny. Powrót. Odbudowa.

O b r a z y (nastroje):

Bezlicowość wojny. — Kłamstwa kultury. Katedra. — Gdzie człowiek? — Protest. — Chrystus i wojna. Św. Franciszek. — Miłosierdzie i wojna. — Piękno przyrody i wojna. — Sztuka i wojna. — Prawo a wojna (gwałt, mord, podpalanie). — Miłość, nienawiść. — Syzyfowa praca ludzkości.

DODATEK

1. OBRONA PODHALA

Obroną Podhala nazywam obronę kresów południowych Rzeczypospolitej. Dlatego, iż np. przy tworzeniu wojskowego okręgu podhalańskiego wzięły władze polskie pod uwagę ziemie: nowotarską, limanowską, sądecką, spiską i orawską. Niedawno zgłosiło się też ku nam żywieckie, a wiemy, iż obejmiemy z natury rzeczy (etnograficznej) i jordanowskie.

Podhale stanowi już dziś, co do obszaru, województwo. Może w Polsce będzie się nazywać Ziemią Podhalańską. W każdym razie — bez kwestjonowania — ziemią podhalańską.

Tymczasem — bracia, pobratymcy Czesi, kwestjonują nam to prawo. Apelują o Ziemię Spiską i Ziemię Orawską.

Ze Ziemi Orawskiej gotowiśmy im oddać to, co słowackie. Wiadomo, Ze Ziemi Spiskiej — nic. Bo naszą była i jest. Bez prawa Wilsonowskiego.

Jeśli kto w Polsce nazwie tę sprawę lokalną, to dobrze — chcemy ją sami załatwić. Prosimy jeno Polskę o poparcie. Z racji:

1) Spiskie Starostwo było przez wieki przy Polsce. Prawo zastawu i skradzenia dostało się jeno czasowo Węgrom. 2) Spisz jest perłą w Rzeczy Pospolitej. 3) Obejmuje: nasze rodne wsi, rdzeń polski, część Niemców osadników (ci opowiadają się z nami) i część Słowaków

na południu. Dolina Popradu granicą. Kieżmark i Podoliniec nasz. Nie sięgamy dalej, choćbyśmy mogli.

Albowiem: Równe prawo mamy do Słowaków jako i Czesi. I prawdą jest: gdybyśmy przed 10 laty, równo z nimi, agitację na Słowaczyźnie rozpoczęli — dziś cała Słowaczyna byłaby za nami. Krewniejsi bowiem jesteśmy my, Podhalanie, Słowakom, niż bracia Słowianie z pod Pragi.

Mogliśmy my, Podhalanie, Rzeczpospolitą słowacko-podhalańską stworzyć i oddać ją na Nowy Rok Polsce. Nie stworzyliśmy. A oni, pobratymcy Czesi, i po nas teraz sięgają.

My, powiadam, damy sobie radę, nawet z tak wielkim narodem jak Czesi. Ale chyba Polska też pomoże. — Bowiem to sprawa nie lokalna. —

Prosimy pięknie.

2. JAWORZYNA — BALZER.

Z zadowoleniem przyjmujemy wieści, iż w Pradze wreszcie zdają się rozumieć, że rozżalone społeczeństwo polskie nie zaaprobuje w rozumie i oburzonem uczuciu swem, choćby nawet ratyfikowanej, ugody czesko-polskiej, póki przynajmniej jaskrawo krzywdząco pociągnięta granica w Tatrach Wschodnich nie zostanie po myśli naszej uregulowana.

Zrozumiałem jest, iż naród kresowy najżywiej czuje, i traktuje jako sprawę osobistą, sprawę najbliższej granicy z sąsiadem. Tak też Podhalanie, naród południowo-polsko-okrainny, najdotkliwiej odczuli krzywdę wykre-

ślonej przez zabiegi rządu czesko-słowackiego granicy między nimi a pobratymnymi Słowakami. I dali temu ostrzegawczy wyraz, jeszcze przed zapadem ograniczeń, w wieleznaczących słowach wójta z Maruszyny, wypowiedzianych na wiecu w ratuszu krakowskim:

Niech bracia-Czesi wiedzą, że kiedy my z Liptakami przez 150 lat krwawe wiedli walki o kozice, to — jak padnie — o braci naszych spiskich i o Tatry będziemy się krwawić do ostatka.

A już nie kresowe zranione uczucie, lecz stanowczo ogólnopolskie przekonanie wyraża odezwa Związku Podhalan w sprawie jaworzyńskiej, gdy podkreśla:

Te słupy Tatr — zwrotnica to uczuciowa w stosunkach polsko-czeskich.

To zdają się już i w Pradze pojmovać, co z zadowoleniem pojednawczem z doniesień prasy stwierdzamy.

A teraz ku naszym suwerenom słowo: ku czynnikom decydującym, ku Warszawie.

Wiemy: o Tatry wszystkim w Polsce chodzi, niejako już o symbol, skarb idealny narodu. Nam, Podhalanom, tem uparciej. Ojczyźniana to, rdzenna nasza duma. I zrozumiałem jest, że Podhale z wyjątkowym niepokojem śledzi zapowiedzianą poprawę granicy Tatr, t. zw. sprawę Jaworzyny. Z doceny na miejscu rzeczy obawia się, aby czegoś przez niewiedzę nie opuszczono. Dlatego też z radością tu ufną przyjęto dochodzące nas przez prasę słyny, że ponoć rząd nasz w rozumieniu rzeczy do składu delegacji polskiej w Komisji, mającej sprawę orzekać, zaprosił prof. Oswalda Balzera, z którego imieniem związany jest honor zwycięstwa naszego przy

podobnym zatargu o Morskie Oko. Powaga jego, doświadczona już wiedza tej sprawy historyczno-prawna, budzą tę ufność w nas — gdy on w Komisji zasiędzie — iże sprawa sprawiedliwie będzie dowiedziona. I w całej Polsce, mniemamy, też samą ufność nazwisko to budzi.

On zaczął sprawę o granicę tatrzańską Rzeczypospolitej — niechajże dokończy walki, zaczętej przed dwudziestu laty. Powołanie Balzera do Komisji orzekającej w sprawie Jaworzyny dowiedzie też Czechom i światu ciągłości tej niezłatwionej od lat sprawy pogranicza.

Zakopane, w lutym 1922 r.

3. I J E S Z C Z E — I J E S Z C Z E J A W O R Z Y N A

Smutno zaprawdę powtarzać, przypominać i podkreślać rzeczy ze szkoły elementarnej tym, przez bogi na stanowisko „w górze“ desygnowanym — gdybyż to anal-fabetom! — uparcie im niezrozumiałe.

Co to jest Jaworzyna?

Według niektórych wysokich panów z Warszawy: jakieś „skałki“, jakaś „polana“ tatrzańska. A to są: Tatrzy Wschodnie — granica murowana Rzeczypospolitej na południu — symbol potęgi państwa, nakoniec h o n o r n a r o d u.

Ale ba, nawet ci, którzy — zdałoby się — doceniają wagę tej sprawy, powiadają: — Nie zwracajcie nam, parafjanie podhalańscy, głowy Jaworzyną, bo mamy ważniejsze rzeczy na uwadze!

Jakież to? — Rozumieliśmy: Genewa, układ bałtyc-

ki, mało-ententowy i t. d. Czekaliśmy. — A teraz, niestety, wiemy, bo widzimy, że te „ważniejsze“ to są zwykłe kuloarowe, — nie powiedzmy: „wiedeńskie“ — szwindlerstwa; idąc wyżej: ścieranie się sił — ba, gdyby sił! — reprezentowanych, niestety, nie przez mężów stanu państwa, ino przez mniejszych „mężów zaufania“ stronnictw.

Termin załatwienia sprawy Jaworzyny — 6 sierpnia. A nie słyszymy, aby Komisje desygnowane, profesorskie, kiedyś się schodziły. I prawdopodobnie — podług tendencji Pragi — do 6 sierpnia się nie zejdą.

Natomiast słyszymy, że traktat polityczny z rządem czeskim ma być w Sejmie naszym ratyfikowany. Więc zdanie p. posła Piltza ma mieć większą wagę niż większości narodu.

W normalnem społeczeństwie poseł, który wyżej sobie ceni wdzięczność ministrów kraju obcego, do którego jest posłany, niż stanowisko w danej sprawie swego społeczeństwa, powinien być nietylko *stante pede* odwołany, ale nigdzie nigdy nie posyłany.

Ale u nas — —?

Jasne każdemu dziecku i analfabecie ministerjalnemu już chyba wiadome, że gdy ratyfikacja w Sejmie traktatu politycznego z Czechami nastąpi p r z e d załatwieniem spraw granicznych — przefujarzymy Jaworzynę.

Wyczerpaliśmy wszystkie argumenty.

Ponieważ dziś sprawy państwa załatwiają się — niestety, właściwie nie załatwiają — pod kątem wyborów, więc i my dziś w tej sprawie stawiamy ostatni już — argument wyborczy.

Różnie tam podczas wyborów będzie. Ale nam tu idzie o „lokalną“ sprawę Jaworzyny. Komu: nam? — Podhalańcom. A mamy dwa okręgi wyborcze: koło 16 posłów.

Otóż zapowiadamy: Nikto tu o mandat nie może apelować, kto tę sprawę pominął, abo zlekceważył. Niech to będzie z takiej lub owej partji. Albowiem Podhalanie są to: ludowcy, endecy, socjaliści, klerykali, — „co fto fce“ — odbicie wszystkich partyj w Polsce.

Jeszcze gorzej: sprawa Jaworzyny najduje oddźwięk szerzej niż na Podhalu — wierzę: w całym Rzeczypospolitej społeczeństwie. Więc wszyscy, tę sprawę pominąwszy, nie mają poco do wyborców wracać.

4. OTWARCIE ZJAZDU PODHALAN (DN. 13. SIERPNIA 1922 R.)

Ostatni nasz Zjazd Podhalan, trzeci z rzędu zjazdów, które skupiły w sobie inteligentów Podhalan, synów chłopskich — ku podniesieniu tej zaprawdę wyjątkowej ziemi — odbył się w 1913 r. w Czarnym Dunajcu.

Następny, czwarty Zjazd miał się odbyć w roku 1914 w sierpniu, w tem oto naszym stolicznem mieście, Nowym Targu.

Wojna wybuchła. — Członkowie Zjazdów podhalańskich: jedni pobrani zostali musem do kadr armji austriackiej, drudzi szczęśliwsi ochotnie zgłosili się do pierwszych oddziałów Strzelców, inni na placówkach, tu na miejscu i gdzie ich los niewłasnowolny rzucił, poczęli swój obowiązek jako Podhalanie i Polacy pełnić.

Z dumą możemy rzec: Podhale podczas wojny swój obowiązek według sił — a nawet ponad siły — spełniło.

Dość powiedzieć: z tej ziemi, skąd wybrano wszystkim zdrowy naród, jeszcze przeszło 2.000 ochotnika do Legjonów stanęło.

Wielu nie powróciło. — I tu na tem miejscu, my, cośmy się zebrali, oddajmy hołd poległym: Tym co z wiarą młodzieńczą ku wywalczeniu Polski wolnej z pułkami Legjonów poszli — i tym, co na drogach obcych: nad Dunajem, w piaskach wołyńskich, nad Piawą, jako w katorżnych dołach, a z wizją Ojczyzny dalekiej, w której serce ich było — polegli.

Cześć ich pamięci!!

A teraz oto — któż mógł marzyć — odbywamy nasz IV Zjazd w wolnej, niepodległej Polsce.

Nasze uczucia tej chwili, której Bóg nam dał dożyć, przeszle Zjazd w depeszach do Naczelnika Państwa i rządu do stolicy Warszawy.

Waga też tego Zjazdu większą jest niż uprzednich. Jak waga czasu tego — budowania już organizmu Polski — wobec lat tamtych.

Wiek-eśmy zda się przeszli od ostatniego naszego zebrania. Wiek upadku, klęsk i nadziei.

Szatany były przeciw nam, archanioły płomienne nad nami.

Z „wojny powszechnej ludów“, o którą wieszczo modlił się Mickiewicz, wyszliśmy oto z tryumfem...

NOTATKA BIBLIOGRAFICZNA

Drogą Czwartaków wydano po raz pierwszy jako osobną całość w Krakowie 1916 r., nakładem Centr. Biura Wydaw. N. K. N. Książka była ozdobiona barwną okładką i rysunkami Z. Czechowskiego, oraz licznymi fotografjami. Wbrew dacie na karcie tytułowej, książka przeszła cenzurę Komendy Legjonów dopiero z początkiem stycznia 1917, a pod koniec tego miesiąca wyszła z druku. Wydanie niniejsze przejmuję tekst wydania pierwszego, z drobnymi poprawkami według autografu; przywraca ono także kilka zdań, wykreślonych przez cenzurę.

W części drugiej podaje się tu najpierw cykl drobnych wspomnień wojennych, objętych wspólnym tytułem *Inter arma*. Pomysł takiego cyklu i tytuł pochodzi od autora, chociaż zawartość jego różna jest nieco od planowanej przezeń (wyłączono wiersze). Objęte tym cyklem ustępy drukowane były:

1. *O śpiącym wojsku w Tatrach*, 3. *Werbunek na Podhalu*, 8. *Sobótki* — najpierw w czasopismach, ostatnio w zbiorku *Wskazania* (1929); na tem ostatniem wydaniu opiera się przedruk.

5. *Ojciec i syn* oraz 7. *Z drogi czwartego pułku* przejęto z *Wiadomości Polskich* (Piotrków 1915, nr. 36 i 46). Ustęp *Z drogi* jest pobieżną dziennikarską notatką o działaniach wojennych, z których relacja wypełni potem główne rozdziały książki.

6. *Rubin Chęciński* drukowany był w kilku dziennikach w jesieni 1917 r., m. i. w *Głosie Narodu* t. r., nr. 242; tekst w wydaniu niniejszem z autografu. Opowiedziana tam przygoda jest wspomnieniem z N. Radomska 1915 r.

Nie udało się odszukać w druku obu części ustępu 2. *Z dni mobilizacji*, ani 4. *Legjon Wschodni*, choć pierwodruk taki praw-

dopodobnie istnieje. Teksty powyższe wzięto z rękopiśmiennej redakcji bruljonowej, przyczem bruljon pierwszej części ustępu 2. dochował się w stanie ułamkowym (brak pierwszej kartki). Część zatracona zawierała opis początkowej części podróży powrotnej z Worohty (gdzie autor spędził wakacje 1914 r.) przez Mikuliczyn ku Jaremczu.

Następnie dołączono do treści tomu *Rzeczy przygodne*, a w nich materiał o charakterze częściowo tylko literackim, związany jednakowoż ściśle z wojną i służbą wojskową. Materiał ten cały wzięty jest z autografów.

Dwie *Odezwy* werbunkowe, napisane niewątpliwie latem 1915 r. w Radomsku, dochowały się w bruljonach, przyczem bruljon odezwy drugiej na odwrocie innej, drukowanej, odezwy (Polek z Radomska) z kwietnia 1915 r. Obie odezwy były prawdopodobnie rozpowszechniane w formie ulotek.

Tekst (3) *Obwieszczenia* natomiast drukowany raczej nie był. Napisał go autor prawdopodobnie z polecenia pułk. A. Galicy, organizatora i dowódcy Brygady Strzelców Podhalańskich, w pierwszych dniach listopada, a może jeszcze ostatnich października 1918. Plan takiej ogólnej z a p o w i e d z i poboru zarzucono, skoro dn. 6 listopada t. r. komendant obwodu major Brzoza-Brzezina wydał odezwę o wyznaczonym już terminowo poborze roczników 1898—1900 z Podhala, gdzie o ochotnikach już mowy niema (zob. *Gaz. Podhal.* 1918, nr. 45).

4. *Fragment listu* do żony informuje o poczynaniach i poglądach Orkana z lata 1920 r.

Embrjonalny szkic zamierzonej powieści (5) p. t. *Wojna* pochodzi zapewne z r. 1916; autor zaznaczył w bruljonie niewyraźne tylko zarysy całości i do planu tego bodajże drugi raz nie wrócił. Szkicując go, myślał o zużytkowaniu swych przeżyć, wspomnień i obserwacyj wojennych w dziele literackim; poza ogólnikową dyspozycję jednakowoż nie wyszedł.

Dołączony tu wreszcie *Dodatek* zawiera artykuły, które z treści swej przynależą do grupy pism politycznych, w niniejszem wydaniu zbiorowem pomieszczonych w I t. *Listów ze wsi*. Do tekstów

ich wszelako zbyt późno udało się dotrzeć. Ukazały się one drukiem: 1. *Obrona Podhala w Echu Tatrzańskim* z r. 1919, nr. 1 z dn. 20 stycznia; 2. *Jaworzyna - Balzer* w *Gazecie Zakopiańskiej* 1922, nr. 20 z dn. 1 marca; 3. *I jeszcze — jeszcze Jaworzyna* tamże, nr. 28 z dn. 1 lipca 1922 r.

Zamykające tom, a będące ostatniem spojrzeniem autora ku minionej wojnie, przemówienie na *Otwarcie Zjazdu Podhalań* z r. 1922, wzięto z autografu.

P O S Ł O W I E

Wybuch wojny zastał Orkana na wywczasach w Worochcie. Wypadło przerwać wypoczynek i wśród rozgardjaszu mobilizacyjnego wracać w strony rodzinne, by zająć swoje miejsce w zbliżającym się biegu wielkich wydarzeń.

W sprawie t. zw. orientacji, które różniczkowały naówczas społeczeństwo polskie, Orkan miał odrazu stanowisko jasne. Związany ideowo i osobiście z ruchem radykalno-postępowej inteligencji, sympatyk poczynań rewolucyjnych z r. 1905 i związanej z nimi bezpośrednio pracy nad przygotowaniem, w zastępach strzeleckich, zawiązku wojska polskiego, — miał teraz, w obliczu wojny, drogę postępowania wytyczoną odrazu i wyraźnie: wypadło oddać się w służbę legjonową. Przecież przed wojną jeszcze, w r. 1913, brał był udział w formowaniu Drużyn Podhalańskich, w myśl wskazań ostatniego zjazdu Podhalan. Trzy *Pobudki strzeleckie* są tej pracy Orkana znakiem poetyckim.

To też w sierpniu 1914 odrazu staje on u boku Włodzimierza Tetmajera, który jako komisarz N. K. N. prowadził na Podhalu werbunek do Legjonów.

Wypadki wojenne, wdarcie się wojsk rosyjskich aż pod Limanowę, przerwały tę działalność i rzuciły Orkana na wychodztwo, do Insbrucka; tam przebył zimę

1914—5. W marcu 1915 r. wrócił do służby i został przydzielony do biura prasowego Komendy Legionów w Piotrkowie i w N. Radomsku. Uczestniczył więc w dalszym ciągu w akcji werbunkowej, obecnie już na terenie Królestwa, jeździł, przemawiał, pisał odezwy, artykuły.

W pracy tej jednakowoż natrafiał na przeszkody, które go głęboko dotknęły, po chwilowym zapale nawet zniechęciły. Jeżeli nadto weźmiemy pod uwagę wrażliwą naturę poety, skazanego na pracę biurową, a zarazem wzgląd, jak nieswojo czuć się musiał ten urodzony góral wśród równin północnej Małopolski, — zrozumimy ów zgryźliwy i zgrzytliwy ton, jaki się odzywa w jego listach z tego czasu.

„Choruję — pisał d. 10. V. z Piotrkowa — od przyjazdu „na Królestwo“. Uważam, że nas wszyscy królewiaczy, z najlepszą wolą, okłamali. To był humbug. Żadna tu partja nic nie ma i nic trwałego nie zrobiła. Chłop w masie — martwy jak mur, ciemny, wrogi polskości, daleko cofnięty. Inteligencja tchórzliwa, bez charakteru, politycznie niewyrobiona. Ziemia, pejzaż, tłoczące, równinne, nieładne, z liszajami torfowisk, nudą piasku, chorowitemi sosnami. A już ohydą i raną ziemi — to Zagłębie. Nic brzydszego sobie nie wyobrażam... Pisać dotąd nie mogłem, bo to, cobym pisał, nie do druku, a kłamać nie mogę i robić sztucznego optymizmu, jak nasze Biuro prasowe to czyni... Czuję się nie na swoim miejscu. Jak o raju — marzę o górach, o Szwajcarji, Tatrach, Gorcach, o zawiąsaniu tego wszystkiego...

Z ulgą więc zapewne odszedł Orkan z kancelarji do bataljonu zapasowego, skąd niebawem — jako tytularny chorąży, przydzielony w charakterze oficera ordynansowego do sztabu 4 p. p. Legionów Polskich — wyruszył razem z pułkiem w pole. Dzielił z nim losy przez lipiec,

sierpień, odbył „drogę Czwartaków, od Ostrowca na Litwę“, uczestniczył w sprawach, które stanowią będą przedmiot jego książki wspomnień. Brał udział w bitwie pod Jastkowem, poczem rozkazem pułkowym płk. Roi z d. 21. VIII. 1915 r. „za dzielne zachowanie się w ogniu“ zamianowany został chorążym.

Wskutek choroby wrócił Orkan od września do dawnego przydziału biurowego, do Piotrkowa, potem do Lublina. Znow zaczął pisać przygodne artykuły do piotrkowskiego *Dziennika Narodowego*, do *Ziemi Lubelskiej*. Już podówczas sposobił się on — by tak rzec — na historjografa pułku. Wygotował więc do druku książkę *Drogą Czwartaków*, planował drugą p. t. *Czwartakom—Dumy i wizerunki* i podjął się też dzieła, które przez długi czas będzie zaprzętać jego uwagę, ale którego ostatecznie nie wykona: miał zredagować *Złotą Księgę L. P.*, któraby zawarła obraz działalności wojennej Legjonów, listy strat, nekrologi poległych i t. p.

Zimą 1916 r. (luty—marzec) wyrusza Orkan ponownie do pułku, stojącego podówczas na Wołyniu, na pozycji pod Optową. Zapadłszy jednak po raz drugi na zdrowiu, po dłuższym pobycie w szpitalu przekonał się, że sił mu na służbę frontową nie starczy. Otrzymał też ostatecznie przydział do Archiwum Wojskowego L. P. w Krakowie. Działalności literackiej szerszej w tym czasie nie rozwiniął, sporadycznie występował z odczytami o wrażeniach i wypadkach wojennych.¹

¹ O jednym z nich warto wspomnieć szczegółowiej. W marcu 1917 r., mając pozwolenie i poparcie Komendy Legjonów, pragnął Orkan wybrać się do Warszawy z odczytem p. t. „Z Korony na

Katastrofa Legjonów 1917 r. zaznaczyła się również na kolejach życiowych Orkana: drogą superrewizji zwolniony został ze służby. Teraz dopiero poczyną wracać do działalności pisarskiej; w r. 1918 bierze żywszy udział w krakowskim tygodniku *Maski*, współpracuje i w innych pismach.

Pod koniec 1918, po rozpadnięciu się Austrii, Orkan znowu pomocny jest na Podhalu przy formowaniu oddziałów wojskowych, oddaje pióro swe na usługi pracy werbunkowej (por. wyżej str. 170). Do służby wojskowej wrócił w grudniu t. r., przydzielony w randze podporucznika do 2 p. Strzelców Podhalańskich. Ale i teraz miała to być służba tylko kancelaryjna; „chorość“, (podobnie jak później, latem 1920 r.) nie pozwoliła wyruszyć w pole. I znowu okres służby kończy się szpitalem (styczeń 1920) i superrewizją. W kwietniu t. r. zostaje Orkan przydzielony w randze porucznika do bataljonu zapasowego w Sanoku, a we wrześniu t. r. przeniesiony do rezerwy w randze kapitana.

*

W rozwoju twórczości literackiej Orkana wojna nie zaznaczyła się w jakiś szczególnie dodatni sposób. Ani na miarę, ani na wagę. W latach wojennych wydał autor

Litwę“. Dochód z odczytu przeznaczony był na biedne dzieci Wilna. Z kancelarji niemieckiego gubernatora w Warszawie nadeszło pozwolenie, jednakowoż pod warunkiem, 1-o żeby (niebezpieczny!) tytuł odczytu zmienić na „Schilderung der Kämpfe des 4 Regiments 1915“, 2-o żeby z tekstu jego usunąć ustępy wykreślone przez cenzurę, wreszcie 3-o dochód przekazać do kasy gubernatorstwa, skąd dopiero zostanie on przesłany „an den Verwaltungschef in Litauen“. Tak się to podówczas pracowało.